EZOTER

MIESIĘCZNIK POETYCKI

KRAKÓW

TREŚĆ:

Redaktor naczelny: *LUCJAN PATRYCY*
Redaktor odpowiedzialny: *WŁODZIMIERZ MIHAL*
Wydawca: Koło art. lit. *„EZOTER"*

Adres Redakcji i Administracji: Kraków, ul. Św. Marka 25. III. p.
Redaktor przyjmuje w soboty od godz. 15—16.

WARUNKI PRENUMERATY:

Kwartalnie zł. 2.80, półrocznie zł. 5.30, rocznie zł. 10.—
Numer pojedynczy 1 zł.

Redakcja nie zwraca drobnych rękopisów. Utwór, o którego druku autora redakcja nie zawiadomiła w ciągu miesiąca od chwili nadesłania, jest odrzucony. Redakcja nie podejmuje się oceny rękopisów.

EZOTER

MIESIĘCZNIK POETYCKI

LIPIEC 1928
ROK PIERWSZY :-: ZESZYT PIERWSZY
KRAKÓW

CZCIONKAMI POMORSKIEJ DRUKARNI ROLNICZEJ S. A. W TORUNIU

Jedyną istotną rzeczywistością jest SŁOWO. W użytkowności dnia codziennego zatraciło Ono swój blask, świetność, świętalność Majestatu i Siłę.

W ściekach „praktyczności" zagubiło swe Piękno — stało się wyświechtanym łachmanem królewskim, nad którym potrafią jeszcze łzy zachwytu wyciskać niedorozwinięte umysłowo pensjonarki . . .

Artystycznego wyrazu PRAWDA zginęła pod nalotem szybkostrzelnych frazesów. Codzienna treść znalazła dla siebie zaiste zbyt dowolną, codzienną formę.

A życie na tem nic nie zyskało! — nie stało się Poezją! Ta ostatnia natomiast, przez nieopatrzne i niepotrzebne zgoła aktualizowanie skrawków życia — upadła nisko! Rozlała się w brudnej kałuży cuchnącego potu i w pseudo-dowcipnych podskokach wspina się mozolnie na zaszczytną drabinę . . . informującego feljetonu dziennikarskiego!

Dość już mamy elektrotechnicznych, maszynowych, telefonicznych, telegraficznych i radjowych uwielbień! Nie jesteśmy inżynierami, ani nawet monterami!!

W poezji nie szukamy „wiadomości technicznych" — wogóle kultury materjalnej, bo ona jest zewnętrzną, szybko przemijającą stroną życia — ale dążymy do kultury wewnętrznej, duchowej, która jest wieczną, a przeto tylko ona istotny wyraz i wartość epoki odzwierciedlić może.

Konkretnie: ***w Poezji chcemy odczuwać tylko Poezję*** *— nic więcej!*

Przekreślamy wszelki Utylitaryzm i kastowe Społecznikostwo.

Ociekające eliksirem życia SŁOWO — jest dla nas CZYNEM z krwi.

Bez Formy — Treści poetyckiej nie uznajemy!

Prawdziwy artysta nawet w najwyszukańszej formie wyrazić zdoła każdą istotną Treść, która musi być obrazowości i uczuciowości pełną, artystycznie odsłaniającą wieczne tajemnice psychiki ludzkiej!

Dlatego nie odrzucamy nawet „przebrzmiałych" Form wieszczów naszych, ale zmieniamy je, nasycając naszą, współczesną Treścią.

Przedewszystkiem: Piękno i Prawda artystycznego wyrazu, a następnie — możliwie najjaśniejsza objektywizacja Prawdy w Pięknie.

Uznajemy hierarchję słów i tematów.

Nie każde słowo i temat nadają się do Poezji:

Pragniemy SŁOWOM przywrócić dawną siłę i istotne Znaczenie!

*Budujemy Poezję prawdziwą, świadomą swych wewnętrznych zadań a pierwszą gołębicę Jej ewangelji puszczamy w świat — **ezoteryczny estetyzm!***

OD NATURY DO CZŁOWIEKA

Wieczorne rosy jak sny kładą się w mroku na polach,
Na ściętych rżyskach, jak łzy na ostrych nożach — w bolach.
Gdzie jesteś myśli?! — — —
Wionęły znowu tu bzy wiosennych wspomnień powiewem,
Biały akacji szron z mgły — splótł grzech słowika ze śpiewem.

O sny pól cichych! sny łąk zatrute miąższem zieleni,
I lasy szumiących mąk i nimfy leśnych strumieni:
Zatańczcie w krąg! . . .

Gdzie skały kościsty zrąb wiatr smaga stustrunnym biczem,
Gdzie strasznych zapomnień dąb grozi odwetu obliczem:
Tam w pląsach w krąg! . . .

To igrców obłędny wzrok roztrąca kroplistość rzeki,
Świetlistość przemienia w mrok — przybija do ócz powieki . . .
Ciemności wkoło! . . .

Strasznie wesoły ten skok ze światła w ponure ciemnie!
A w duszy wylęgły smok pożera nieba i ziemie . . .
Strasznie wesoło! . . . — — —

Zebrałem słodycze z rąk łaknących spokoju ciszy,
Miód spiłem z pożółkłych ksiąg — melodje z pękniętych uszu
Związałem w bukiet serc!! . . .

ŁOWCA GWIAZD

Płochliwe sarny nieba
Chwytam w mgławicy siecie —
Promieniem słońca wiążę;
Róg każdy zdobię kwieciem.

Potem ognistym wozem
Na kołach z piór łabędzich,
Dzikich rumaków szałem
Obłęd mnie w przestrzeń pędzi.

W przód rwących w pierwszej czwórce:
Saturna i Jowisza,
Słodką Wenerę, Marsa —
Bat woli mej ucisza . . .

Języki ognia w rękach,
Jak lejce trzymam twardo —
I z pod niebieskich turni
Patrzę na ziemię z wzgardą . . .

Przedemną słońce gaśnie!
— A wiecznie chory księżyc,
Cynowy kark z przestrachu
Łukiem pokory pręży.

Skaliste czoło moje
Wieniec mi gwiazd umai —
Ja-m groźny władca nieba!
Jam król nadgwiezdnych krain!! . . .

POWROTY

Złoty promieniu
na czarnym stole —!
twa jasność kole
myśli w wspomnieniu
marzeń dziecięcych . . .
Nic ich nie zmieni,
nie zatrze więcej,
choćby z zieleni
na lśniącej łące;
nigdy już potem
kwiaty pachnące
nie piły życia —
choćby pokotem
legły zatrute
na suchej trawie . . .

Teraz mi łzawy,
dojrzały smutek
oświeca drogę
wiecznych powrotów
w krainę dziecka . . .
Bóle przemogę,
i z ptaka lotów
wywróżę sobie:
czy sieć zdradziecka
już zastawiona
na moją duszę . . .
Potem wyżłobię
na sypkim piasku:
kameleona,
i w drewna trzasku
nastawię kuszę
z płonącą strzałą.

W samo południe
pójdę na pole,
na łąkę małą:
zrywać kąkole,
bo zboże chudnie
od jadu krasy . . .
Pod szmerem lasu
głowę położę —
wilgotne liście
będą mem łożem —
jedliny kiście
zwisłe nad skronią:
o czarach życia
pieśń mi wydzwonią . . .

Wiatru poszumem,
co gdzieś z ukrycia
groźne pomruki
wysyła chmurom,
napełnię dumę
skalistą górą
zuchwałych rojeń —
dzięcioła stukiem
serce wybije
chwile upojeń . . .
I smutki czyjeś
kołysać będę
łzami rozkoszy,
myśli obłędem . . .

Wioną mi astry
radości wiewem —
pokroję słońce
na miodne plastry
i stanę w kole
głodu i nędzy —

z promiennym śpiewem
podawać będę
spragnionym rzeszom
karm na ich bole . . .

Złoty promieniu
na czarnym stole —!
myśli nie grzeszą:
w dziecka wspomnieniu!!

ORACZ SKAŁ

Rzucony w przestrzeń bezmiaru,
Co wokół pustynię otacza,
Ujrzałem wśród słońca skwaru
Znojnego skał twardych oracza.

Spalony wichrami trudu
Z pochyłą szedł głową za pługiem . . .
Olbrzym, genjalny bóg ludu,
Kamienną rwał z ziemi trosk smugę!

Zdumiony bezpłodną pracą
I żmudnym wysiłkiem tytana
Spytałem: „powiedz mi, na co
Jałowe rwiesz skały od rana?"

A on mi cicho odpowie:
„W kamieniu, co łzami go kruszę,
Zgubioną już niegdyś w głowie,
Chcę znaleźć napowrót swą duszę". . .

LUCJAN PATRYCY

POSZUMY WIOSENNE

Znowu przychodzisz . . . w ekstazie słonecznej
by serce mych natchnień obudzić pieszczotą
wonną, jak słowa twe słodkie — tęczowe —
i żądze płomienne rozniecić tęsknotą . . .

Lśniącym błękitem upojnej błogości
całujesz mą duszę: modlitwy codzienne.
Znowu przychodzisz . . . by radość hymnami
wplatać promienną w me życie niezmienne . . .

Świętem wcieleniem jest każde marzenie
gdy noc je księżycem nie uśpi . . . z zazdrości . . .
Przychodzisz . . . by w złotych szczebiotach ptaszęcych,
znów mi się oddać . . . znów skonać z miłości! . . .

W rozkoszy niebiańskiej kwitniemy — złączeni
młodością — jak drzewa w gorących objęciach
słońca . . . na żniwa przyszłe, na wieczność —
co Bogiem z naszego urodzi się szczęścia! . . .

WIERSZ O . . .

Z zamglonej dali, gdy ją wiatry orzeźwią —
wchłaniam, jak radość, pogodę o sobie . . .
I chociaż tak rzadko i mało mi mówią
ludzie o szczęściu . . . wciąż myślę o Tobie.

Wczoraj mi księżyc przypomniał marzenia,
jakiemi w dzieciństwie swą duszę karmiłem —
a później o Twoich wszczął szeptać zwierzeniach
i o mnie: kim jestem, a kim dawniej byłem . . .

Z rzewną czułością kładłem dłonie szczęśliwe
na miłość słów srebrnych tęskniącą w zachwycie
gwiazd — za tą jedną, nienazwaną chwilę,
co cicho zakwita i więdnie jak życie . . .

Modliłem się do Ciebie . . . A słodkie sny moje
u stóp swych przeznaczeń się kładły baśniami,
jak w suchym upale mdlejące powoje,
by Tobą o świcie . . . gdzieś . . . zniknąć z gwiazdami.

EROTJA

STEFIKOWI . . .

Dzień ciepły, cały w słońca grze,
modremi uśmiechami
owionął Cię, ach! szczęście me,
jak sen pocałunkami.

Wokoło wiosna . . . Czarem drżą
Twe usta rozchylone,
do których pęki słońca lgną
tęczami roztańczone.

I mówisz mi i szepcesz mi
jak dzieciak niespokojny,
że Ci się zawsze miłość śni —
i jakiś dreszcz upojny . . .

Erotjo ma! Spełniony śnie!
O plenna ma błogości,
co wiosną ócz swych skuwasz mnie
i szczęściem swej miłości!

Rozkoszy ma! Sezamie słów!
Naiwności wypieszczona
różanym nimbem wonnych snów —
Erotjo rozmarzona! . . .

Niebieski dzień . . . Wiosenna woń
upaja Cię fiołkami,
Ty drżysz . . . jak w śnie, a Twoją skroń —
pot wieńczy perełkami . . .

DO LUDWIKI ŚNIADECKIEJ

Gdy oczy Twe smutne, kiedyś, niespodzianie
znów czyjaś miłość rozwiośni tęczami —
nie płacz, nie narzekaj, i niech żal Ci nie będzie
tych . . . o mnie . . . snów cichych, pieszczących baśniami.

Niech serce Twe dobre zapomni o szczęściu
chwil błogich, co niegdyś były wspólnem spojrzeniem
dwóch światów dziecięcych . . . Niech zdławi sny złote —
a mię Twem słonecznem niech przeklnie imieniem . . .

WŁODZIMIERZ MIHAL

O LISTONOSZU, KTÓRY ZAWSZE RPZYNOSIŁ DOBRĄ NOWINĘ.

Nikt z was nie może powiedzieć, że nie ma w domu swoim drzwi lub furtki, któreby bodaj raz na dzień czegoś nie czekały. — Zwykle wtedy nie chcą się szczelnie domykać lub zacina się drżąca klamka. Godzinami nieraz patrzyłem w drzwi, które czekają kogoś lub czegoś, całe zasłuchane, z zawiasów ku schodom się wyrywające, zdolne z trzaskiem rozbiec się w dwie strony, jeśliby tylko na klamce spoczęła dłoń, choćby jak oddech lekka. Słyszą one wtedy kroki cienia idącego po ścianie i liczą każde „Tik-Tak" zegara. Tętno na skroni liczą. Aż zadrżą i zatrzęsą się, gdy schód poda scho-do-wi wieść:

I D Z I E!

Tak czekają zwykle drzwi kogoś lub czegoś, a jakże musiały czekać listonosza, który zawsze przynosił dobrą nowinę. Przesuwał się na palcach — zawsze niespodziany i uśmiechał się do rozjaśnionych drzwi, gdy list zaszeleścił i zastukał w puszkę. Czasem zadzwonił i stawał we drzwiach cichą radością i gubił miękkie kroki po schodach, gdy spłoszył go krzyk szczęścia. Nosił pękatą torbę, dobrych listów jak owoców pachnących pełną. Były w niej listy zaróżowione myślą o powitaniu, były czerwone niby wargi całowane, były niebieskie dalekiem niebem, były zielone napęczniałe wiosną, były białe, miękkie i ciche (matka tęskni . . .), ale nigdy nie było w niej białych listów o czarnych obwódkach. Rozdawał je bowiem listonosz, który zawsze przynosił dobrą nowinę.

Gdy listonosz wchodzi do kamienicy, wszyscy biegną do drzwi, do puszek i pytają: „Niema listu do mnie?".

On tylko jeden wolny był od tych pytań, bo ludzie dłonią przyciskali bijące serce i tylko przez szparkę lub dziurkę od klucza patrzyli, czy ręki list trzymającej ku ich drzwiom nie podniesie. Nikt nigdy nie miał odwagi pytać go o list z wyjątkiem jednego człowieka. Ten zawsze o jednej godzinie stał oparty o czerwone sztachety — czarno ubrany, milczący i blady. Ten pytał codzień. A pytał przez nałóg — przywykł. Nigdy nie patrzył na listonosza i obojętnie odbierał od niego „Nic niema", jak codzienne: „Dzień dobry". Potem odchodził w głąb ogrodu i czerwieniły się żywiej sztachety, gdy za niemi przesuwała się czarna plama.

Aż raz, gdy człowiek bledszy, niż zwykle, czekał, by odebrać codzienne „Nic niema", ręka listonosza znikła w torbie i po chwili wyłowiła z niej biały list. Człowiek ręki nie wyciągnął, tylko raz stawał się czerwieńszy od czerwonych sztachet; to znów bledszy od białego listu, aż zgiął się w kolanach i opadł czarnym strzępem na zieloną trawę. Listonosz pochylił się nad nim i biały list na czarnej kamizelce położył. — — —

Ja także z udanym, jakże śmiesznym spokojem czekam codzień na rogu ulicy, o pień latarni oparty. Gdy zobaczę listonosza, który zawsze przynosi dobrą nowinę, szybko przechodzę na drugą stronę ulicy, bo gdyby ręką sięgnął do torby . . .

Czekam codzień i nigdy nie pytam. Czekają moje drzwi, całe zasłuchane, z zawiasów się ku schodom wyrywające . . .

ADAM POLEWKA

GOŚCIŃCE

Przerażają mię białe, dalekie gościńce,
przydrożnych pyłów w słońcu przeraźliwa jaśń.
Przez świat się kręcą wiecznym, bezustannym młyńcem,
tysiącem, z kłęba Dali, wysnuwanych pasm.

Ścielą się, niby skrawki olbrzymie papieru,
które schwycił linotyp — gigantyczny świat,
i kładzie na nich szybkie, bezwładne litery,
słów dziwnej opowieści chaotyczny grad.

Ku baniom błękitnawym sennych widnokręgów
biegną zmory — gościńce skrętem długich szyj —
bez końca pod stopami błędnemi się lęgną
kłębowiskiem zdradziecko wijących się żmij.

Schwyciły mię pętlami ramion nieskończonych,
patrzą mi w twarz tęsknotą zagadkowych bielm,
rzucają mną, jak piłką, w wszystkie świata strony,
w kierunku, gdzie się czai niewiadomy cel . . .

KONFESJONAŁY.

Mroczna nawa ostrzami mgławych świec pokłuta,
Kamiennych wizerunków nieruchomy letarg . . .
W wnękach konfesjonałów widma w czerni sutann
I jak liście więdnącej wiary-stuł fiolety . . .

Mroczna twarz, nieruchoma, jak freski świątynne
W cień wsiąka . . . w pasmach sepji brunatnej się gubi.
I druga twarz, ugięta pod ołowiem winy
Wyszlochująca grzechy, jak żrący krew rubin.

Szare grzechy człowiecze . . . Pokaz skromnych kalek,
Rewja sińców i wrzodów, rachitycznych członków . . .
Ziewanie ust i senny mrok w konfesjonale,
I otłuszczenie serca pod komży koronką.

„Absolvo te" bezmyślne . . . „5 Ojcze nasz, Zdrowaś"...
Wyroki z ust znudzonych sumień alchemistów.
. . . W krepie godzin wieczornych twarz bolesną chowa
Dręczony, od stuleci krzyżowany Chrystus . . .

ALINA BUTRYMOWICZÓWNA

CZŁOWIEK

Narodziny i śmierć —
Kołyska i mogiła.

Dwa odległe, a tak bliskie brzegi, któremi płynie rzeka dni, idąca w przestrzeń przyszłości.

Dwa słupy zamykające wieczność ziemską.

Życie je spina jakby tęczą z białych i czarnych świateł.

Tą bramą zdążają dni do domostwa zwanego wiecznością, potykając się na grudach grzechu i łez, drogą, którą serce zaściela szkarłatem miłości i posypuje popiołem skruchy.

A u progu świetlicy Bóg wita uśmiechem jakim jeno matka w chwilach szczęścia uśmiecha się:
Synu! — któryś błądził . . .

KOT

Na krawędzi okna stoi kot.

Z cienia pokoju wychyla nogę ku smudze światła, dotyka go, jakby miód z plastra jasności, podnosi i oblizuje.

Słodycz jasności w mroku gaśnie.

Drugi raz i trzeci to samo.

Sądzi, że to złote mleko w naczyniu blasku . . .

Cień wciąż napływał i owijał łapę —

Myśl zamroczyła chwilę złudy.

Żal mi kota, który nie mógł pokosztować miodu słonecznego...

OSTATNIE SPOJRZENIE

Spojrzał na ziemię ostatni raz. Słońce gromnica przysłoniła.

Zamknął oczy.

I zasnął . . .

Na drugim świecie się obudził i ziemskim wzrokiem

patrzał w oczy Boga.

I Bóg radował się i smucił, poweselał i zapłakał.

W sercu Boga pomieszały się godziny człowiecze — —

JAN WIKTOR

KOŁOWRÓT

Sto mszy, nabożeństw we mnie żyje,
uwielbiam Boga, wieczność piję,
kołowrót bytu myślą pędzę,
ale nie jestem wcale księdzem!

Wystrzelam w niebo zdań naboje,
zatapiam w morzu słów heulboje
i władam myśli manlicherem,
ale nie jestem inżynierem.

W wszechświat eteru ślę sztafety
na marsach, słońcach znaczę mety,
w uszach mi wystrzał startu szumi,
ale nie jestem żaden Nurmi.

Dopiero kiedyś w biały wieczór,
po wielkim z śmiercią fotbalmeczu
dostanę w niebie z gwiazdy żeton,
za to, że jestem tu . . . poetą.

KRZYŻE

Słuchajcie: Ja miałam czterech jak topole synów —
wszystkich wytłukli w bohaterskim boju
i każdy wielce zasłynął.

Dziś nie mam synów, ale mam w pokoju
nad głową mego spłakanego łóżka,
zawieszone na małych, pozłacanych uszkach
cztery
olbrzymie ordery.

Piękne są. Dwa z nich to błyszczące krążki,
a dwa znów . . . krzyże, ubrane we wstążki
piękne, piękniejsze niźli moje dzieci!
Z mych synów żaden tak złotem nie świecił,
w takich nie chodził jedwabistych szatkach.

Cóż więc dziwnego, że ja stara matka
zapomniałam o moich synach bohaterach —
a zakochałam się na śmierć w orderach.

Ale powiedźcie mi, dlaczego
łzy mi po zmarszczkach szarej twarzy biegą,
ilekroć oczy do ściany przybliżę
i głaskam okiem pozłacane krzyże.

Powiedzcie głupiej, nierozumnej matce,
czemu co wieczór, gdy strach z nocą gada,
musi na łóżku zatroskana siadać —
tak jej się tłucze serce w dusznej klatce . . .

Powiedzcie, kto duszę jej gładką
zepsuł i zazdrość w niej żółtą rozniecił,
że dziś nie może spojrzeć w oczy matkom,
które kochają nie krzyże — lecz dzieci!

MICHAŁ RUSINEK

WSPÓŁCZESNOŚĆ

Pustką upił się martwy, zbezbożniony kościół —
Fresków spróchniałe otocza kurzem siwieją.
Szarada giętkich sprzeczności
Odpromienia na ekran niepisane dzieje.

Pstre zbiorowiska wrażeń, jak jesienne liście,
Gniją w chaosie od lat opuszczonych bibljotek.
Pękły półki ksiąg pełne, prorocze wróżących przyjście,
Sypiąc obficie foljały starością złote.

Więc prawdy posągiem się stała bezczynność głazu,
Wygodna, jak chybotanie dziecinnej kołyski
I zamilkł ten, który niegdyś w twarz rzucał wszystkim:
— Trzeba być zimnym, lub wrzącym, jak roztopione
[żelazo.

JULJUSZ FELDHORN


EZOTER
MIESIECZNIK POETYCKI
NR. 2-3.
KRAKÓW 1928.

TREŚĆ:

Redaktor naczelny: *LUCJAN PATRYCY*
Redaktor odpowiedzialny: *WŁODZIMIERZ MIHAL*
Wydawca: koło art. lit. *„EZOTER“*

Okładkę projektował: *TADEUSZ STACHYRA*

Adres Redakcji i Administracji: Kraków, ul. Św. Marka 25, III. p.
Redaktor przyjmuje w soboty od godz. 15—16.

WARUNKI PRENUMERATY:
Kwartalnie zł. 2.80, półrocznie 5.30, rocznie zł. 10.—
Numer pojedyńczy 1 zł.
Konto czekowe: P. K. O. 408 494 Kraków.

Redakcja nie zwraca drobnych rękopisów. Utwór, o którego druku autora redakcja nie zawiadomiła w ciągu miesiąca od chwili nadesłania, jest odrzucony. Redakcja nie podejmuje się oceny rękopisów.

EZOTER

MIESIĘCZNIK POETYCKI

SIERPIEŃ - WRZESIEŃ 1928
ROK I. ZESZYT 2—3.
K R A K Ó W

CZCIONKAMI POMORSKIEJ DRUKARNI ROLNICZEJ S. A. W TORUNIU

W MROKU I KRWI

(Z cyklu: „Na szlakach Ducha")

Na polach głucho szumi wiatr,
w rozłogach drży zdławiony krzyk —
północy wąż w swe zimne kleszcze
opasał mnie w ramienia splot,
jak druh serdeczny, Czasu — brat,
Śmierć . . .
W otchłanie ciemnych bram,
w przepaści dzikich loch
lecim' w zawrotny tan —
za nami jęczy szloch,
chyli się zbożny łan . . .
czerepów zgniłych lud
w skowycie spazmów łka . . .
— — — — — — —
Och! . .
Och!! . . .
— — — — — — —
W Imię Ojca
i Syna —
a Trzeci: to Ja,
— Odwieczne Trwanie . . .
Już oto moja
wybiła godzina,
gdy Znak ten wielki
w pustą przestrzeń kładę . . .
Praiły światów
rozrywam oskardem
nieubłaganych myśli . . .

O grudy przemian ducha twarde . . . !

Pojąłem wasz obłędny strach
i krwawe łzy
i ból,
co się odwiecznie w pieśniach gędzie . . .
Ja wam towarzysz,
ja wam druh,
pośród rozstajnych dróg,
na krzyżownicach miast,
wśród mlecznych szlaków gwiazd,
ja zawsze z wami byłem:
wszędzie . . . !
To kłam wierutny,
żem jest tworem chwili,
co jak meteor wyrwany z obiegu,
w bladym rozbłysku
przesuwa się w otchłań
zapomnień . . .
Nie! . . .
Nie!! . . .
Ja: gorejący płomień
z Tamtego szedłem brzegu
pośród milczących gwiazd —
lecz nie w szeregu!
nie!
jam piętno słońca miał na czole,
jak rzeszy król
i wódz!
Nikt mnie nie zdołał zmódz!
ni czas — ni ból!
Ja zawsze jestem,
zawsze trwam . . .
Wyrastam w groźny krzyk
przed tronem Ojca — Boga
i u piekielnych bram! . . .
Ja: obłęd
i zimna rozsądku szpada!
Szatana głos
i Duch Żywota
we mnie się kłócą . . .

Lecz nie upadam!
Trwam! . . .

W Imię Ojca
i Syna —
grzech duszę mą rozcina
w dwie brózdy męki . . .
A ja sam stoję
przeciwko wieków oddali . . .
A serce chłodne . . .
Rozpaczy głuche jęki
nie trwożą go,
choć mrozem pierś się pali —
nie płaczę,
głową nie biję
o twarde źlebia skał . . .
Jam zawsze dumę miał
i Hijobowe w sobie męstwo . . .
Puhary nieszczęść
z śmiechem piję —
ha!
przecież to zwycięstwo
nad . . . sobą!

W Imię Ojca
i Syna
i Ducha —
jakaż się porwie zawierucha
z otchłani trwania —
jakaż się groźna postać
z mroków chaosu wyłania . . .
Ty? Ojcze! . . .
A ja się wiecznie tułam
po nieukoju drogach
i w krwawym pocie,
w znoju
wykuwam Prawdę życia
w przeczuciach wiary . . .
Jakież mi jeszcze ześlesz kary?!
Nie straszny dla mnie jad,
ni trąd —

ni gad zarazy,
ni mors syphilitica . . .
— — — — — — —
Ja zawsze będę! . . .
— — — — — — —
Ja byłem Słowem,
Ciałem,
Krwią,
i Życia Czynem . . .!
Ja pod prąd płynę
przez wieki całe,
bo-m pierwszy Myślą
i potąd nie zginę,
póki Wszechświata istnienie w Twem łonie . . .
Ja-m przed początkiem świata się narodził
z drgnienia mgławicy
i w rozkwitu łodzi
płynąłem przez te niezmierzone tonie,
które-ś dla hołdów stworzył . . .
Ja byłem Adamem,
Kainem i Ablem,
Józefem i Abrahamem,
Kriszną i Ramą,
świętem Agni
i prasłowiańskim Zniczem
i Światowidem z poczwórnem obliczem,
Hermesem Trismegistosem,
Djonizosem
i pięknym Orfeuszem . . .
Cierpliwie znosiłem katusze
całego świata . . .
Jestem
i zawsze będę
po nieskończone wieki,
po nieskończone lata
trwał . .
Z bólu się ciągle odradzam nanowo,
cierpieniem sycę radości wesele —

i to mój żywot . . .

Wiele-m przecierpiał, lecz zostało wiele
Nędzy i Bólu . . .

Jestem
i zawsze będę
po nieskończone wieki,
po nieskończone lata
trwał —
póki Cierpienia rzeki
płyną . . .

W Imię Ojca
i Syna —
już oto nowa
wybija godzina:
kiedy się umysł
z omamienia budzi . . .
kiedy z rozpaczy szałów,
cicho —
łza gorzka
spływa . . .
kiedy wśród ludzi
błądzi Duch Wszechświata . . .
kiedy przed Bólu chwilą,
głowy pokornie chylą:
żebrak i króle . . . . .

DO „ZARATHUSTRY" *NIETZSCHE'GO.*

Zamarłe oczy twe w drwiącym uśmiechu
Zastygły lodem na duszy mej lustrach —
Cynizmu kamień pogrąża nas w grzechu — —
Ja-m tylko człowiek — a ty . . . Zarathustra!!

Pod nami cieknie krew czarna wieczoru
I w łzach przekleństwa strasznem powitaniem
Krtań gardła dusi . . . Ty w niepamięć boru,
Rzucasz myśl: Boże! — Ja krzyczę: Szatanie!

Płaszczem zachodu, co szkarłatem błyska
Skryci milczeniem, jak ślimak w skorupie —
Grząźniemy w przyszłość . . . a ta odaliska
Ma czar fosforu: oczy próchna . . . trupie . . !

LUCJAN PATRYCY

KORYTARZE

Głucha nuda przytula do wilgotnych ścian członki
pokrzywione, rachityczne... z cierpieniem na twarzy
— gdy w wieczornem omdleniu światło lampy kopcącej
ciepłem westchnieniem półsenność obdarzy...

Rozbijają się godziny o wklęsłe — z pajęczyn
utkane — zapomnienia, jak słowa o ściany...
...Ktoś przeszedł przed chwilą tędy cicho — na palcach —
zadumą czczą sklepień pieściwie witany.

Obnażona milczeniem — na przegubach półcieni —
drzemie Cisza z wdziękiem dziewczęcego znużenia.
U załamań stępionych... dniem i nocą konają
ciężkie myśli rozpięte na godzin cierpieniach...

W dzień ślepe oniemienie kwitnie życiem wylotu.
W nocy śmierć się przechadza po odgłośnym betonie...
Czas — asceta w cegieł prostokąty zaklęty —
wyczekiwań dławiących całuje mdłe dłonie.

O świcie znów się Ciszy przyśnią kroki znajome...
Po ścianach zasłuchanych dreszcz mrowiem przeleci — —
Czyjeś ręce z drżeniem zdejmą lampę zagasłą —
Słońce w oknach nadzieję tlejącą roznieci.

....I powtórzy się powszedniość: dzień jednych przygarnie,
drugich wydrwi złośliwie... i ... w nicość się stoczy...
W zadumę bezkresną gorzkie wpadną godziny —
i wbiją w pstry wylot... opuchnięte swe oczy.

LATO

Kołyszą się i szumią plenną pieśnią wezbrane
wonne kłosy mych uczuć: radosne marzenia...
Kwitnie wokół lato... czułym wiewem rozdrgane
i upojną pogodą twarz mi rozpromienia.

Chyli się me serce w serdeczne objęcia
pstrych godzin, co kwiatami jak łąki . . . się śmieją . .
Przelatują nademną pieszczące muśnięcia
lat dawnych . . . błękitną, tęczową zawieją.

Dojrzewa we mnie szczęście rozkoszne i jasne
błogością lśnień złotych, dziwnych, niepojętych . . .
Spijam miłość z pachnącej przestrzeni jak wiosnę
z chwil barwnych . . . gorącą ekstazą snów świętych.

Płonę cały tęsknotą mieniących się łanów —
zasłuchany w odwieczną, falującą pieśń ziemi.
Niebo cichą modlitwą z boskich spływa dzbanów
i całuje mą duszę ustami młodnemi . . .

Oto wieczność się słońcem . . . w mych piersiach przelewa —
Wokół święto . . . Miłośnie szumią kłosy brzemienne . . .
Tak dobrze mi. Tak słodko patrzą na mnie dziś drzewa:
oczy wielkie, natchnione i jak lato — płomienne. . . .

DO AUTORA „ANDY DRAGON"

O śnieżno-białej młodości wspominasz o zmierzchu —!
Nocą sen cię lubieżnie upaja dreszczami
gorących pożądań... O świcie — jak zawsze —
tęsknisz do Boga błędnemi oczami.

Nie znasz życia i nie wiesz jakiem było wczoraj —!
Dziś — jest ci obce. Jutro — obojętne.
Znasz tylko siebie: cuchnącego włóczęgę,
jego twarz blado-żółtą i oczy namiętne.

Ludzie wieńczą twą postać pochlebstwami czczych sądów — —
Ty... brzydzisz się nimi... jak swą matką przybraną!
W beznadziejny wir pragnień szał wplątał cię dziki —
i wgryzł się w twe myśli twórczością nieznaną.

Dojrzewasz w opuszczeniu. Samotnością się karmisz.
Ogniem uczuć swych wskrzeszasz legendarne pacierze...
Duszę — snom - zabobonom, serce — siłom fatalnym
składasz cicho codziennie w pokornej ofierze.

Aż wreszcie... kiedy zmęczą chłodny wzrok twój pielgrzymi,
czuwania, odwiecznych niedomówień pejzaże —
przeklniesz duszę, a serce rzucisz z wstrętem pod ciemne,
nieznanych ci przechodniów, skrwawione ołtarze...

REFLEKSJE

W ogrodzie słońce... Błękit czuły
rozmarzył w oknach dumne kwiaty.
Uczucia drżą na sercu szczęściem —
jak niegdyś, jak przed laty...

Akacje pachną. Błądzą cienie
po krzewach, ścieżkach... Pod drzewami
siadają cicho dla skupienia
symbole uczuć wspomnieniami.

Godziny mkną rozpłomienione
ptakami wizyj... w dal bez treści — —
Świętą ekstazą lśni się przestrzeń
i słodko tak, tak słodko pieści...

Chylą się drzewa. Wieczór blisko.
U progu myśli, jak sumienie,
wstają pragnienia niespełnione —
nieme się rodzi przeznaczenie.

Zmierzch uśpi słońce... Sen otuli
letargiem marzeń barwne światy.
Srebrnemi spłynie noc baśniami —
jak niegdyś, jak przed laty...

WŁODZIMIERZ MIHAL

DĘBY

Dęby wyrosną potęgą nową.
Buntowniczą moc na barkach wyniosą.
Staną samotne, piorunami zryte w obłokach.
Święte drzewa na wyżynach.
Niebiosa podeprą —
Kolumny burzom urągające!
Gdy grom padnie, ramionami gałęzi obejmą i do piersi przytulą.
Konarami okryją boski ogień z niebios spadły.
Liśćmi światłość wycałują, szelestem wyszumią i wyszepcą słowo. —
Dęby wyrosną i Boga sięgną w niebiosach!
Wierzchołki harde schylą w pokorze, padną do stóp
i o człowieku wyszepcą tajemnicę. — —
Na boskich kolanach w jasność wtulą płacz jak dziecko twarz
w matczyne łono.
Wpatrzone w łunę błyskawic błądzących po mrokach, niby
w święte obrazy, objawione w głuchą noc, wypłaczą łzami
błyskawic, wyhuczą gromami nasz bunt, nasz ból, zwątpienie,
naszą chwałę i dumę nędzy ziemskiej.
Dęby wyrosną i niebios sięgną.
Liśćmi zaścielą drogi wieczności.
Wierzchołki pochylą na piersiach pustki miłości i tajemnicy
grzechu...
I wyszepcą, wyszumią:
— Gdzieś Boże?

BURZA

Jałowice opasłe powoli szły, nurzając się w zbałwanionej trawie chmur.

Czarne pastwisko niebios.

Wiatr wypadał, świstał i batem poganiał.

Groźny pasterz!

Błyskawica!!

Z nabrzmiałego wymiona trysła struga mleka na ziemię...

Napoiła oczy i usta błądzących po nocy —

stała się jasnym pokarmem czarnego świata.

WITRAŻ

Wymalowana miłość tęczowemi plamami na taflach szyb.
Mozajka duszy w natchnieniu.
Spłynął promień, zbiegł z wyżyn i rozwiecił cud.
Malowidło z niebios zniesione na złoty dywan blasku.
Witraż tylko w słońcu rozkwita i kładzie na ołtarz kolorowy obraz.
Błękitnieje gołąb, niebieści się Chrystus, różowieje uśmiech . . .
Na obrusie złotym, w różach mistycznych, w aureoli, kwietny wieniec.
Przylgnij ustami i scałuj barwy: sok owoców dojrzałych
na szczytach natchnień.
Pragnę sny mej duszy rozmalować na witrażu.
W okna kościoła miłości wprawić.
W słońcu stać.
I sypiąc kwiaty na ołtarz modlitw ludzkich,
w słońcu niebios, w modlitwach i spojrzeniach kwitnąć.
Być wieczyście źródłem kwietnych zachwyceń.
Dusza moja: witraż w okno wprawiony . . .
Kiedy smuga jasna z niebios zbiegnie, to jakby miłosierny Bóg
promieniem spojrzał i kładł malowidła na ołtarz serc:
słoneczne uśmiechy . . .

JAN WIKTOR

*   *   *

Ty nawet nie wiesz wcale
dlaczego tak bardzo cicho
dokoła ciebie i w tobie...

Siedzisz sam...
Jakże cudownie i z jakim przepychem
Twoje czarowne rozkwitają sny!
Słyszysz..., jak błękit cichy
muzyką wiol niebiańskich drży
nad przelotami jasnych chmur,
rozwitych w sznur
śnieżystych, białych strusich piór...

A dusza twa
na złotych skrzydłach
wtapia się w błękit, jak łza...

Ty siedzisz cicho
i długo czekasz
zanim skąpana w świetle snów
dusza w westchnieniu wróci z daleka,
jak zabłąkany zapach bzów...

DUSZA CZARA
z niem. tłum. J. A. Gałuszka.

NOC W GÓRACH

WŁADYSŁAWOWI ORKANOWI

Zawisła już gwiaździsta noc ponad reglami.
Tak cicho... Żaden szelest tej ciszy nie splami.

Jeno smreki się pysznią siwizną warkoczy,
I dumnie patrzą w gwiazdy — w jasne Boga oczy.

Jeno liście strzępiaste stuliły paprocie,
Jakby marły w bezbrzeżnej, nieznanej tęsknocie.

Śmierć poszła gdzieś w doliny kraść sen z oczu gazdom —
Więc można biec swobodnie przez wierchy — ku gwiazdom.

Szum się zbudził w konarach osiwiałych smreków...
Szum się sączy i dzwoni legendę z przed wieków.

Wierchy milczą dostojnie... Milkną bory z trwogi...
Ostatnie słowa baśni zastygły w pół drogi.

Zawisła znowu cisza wielka nad reglami —
Cisza dobra... bo milczy i nigdy nie kłamie.

I na niebie milczące gwiazdy złote wiszą...
— O, święć się, Ty dostojna, święć się, górska Ciszo!

* * *

Oto, Panie, przypadam cicho do stóp Twoich,
Bo znów we mnie nieznana pieśń się niepokoi.

Jestem wielką miłością — jak święty Franciszek —
Kocham ludzi, czczę słońce i uwielbiam ciszę.

Jestem, Panie, tak silny, jak dąb święty w chramie.
Wiatr pieśni Ci wydzwania memi konarami.

Jestem, Panie, tak słońca pełen, jak ta łąka,
Na której i najmniejszy cień się nie zabłąka.

Jestem, Panie, tak syty cichością radosną,
Jak kwiaty, co się cieszą roześmianą wiosną.

I czuję w sobie świętość wielkiej dostojności,
Bo oto w mojej duszy duch Twój jasny gości.

Daleki dzisiaj jestem bólowi i męce,
Bo na mnie dziś spoczęły Twoje boskie ręce.

Tyś rozpalił rozkoszne drżenie oczekiwań —
Z Ciebie pieśń się poczyna... Pieśń się rodzi żywa.

Ty cichy cud mi zsyłasz wśród bezsennej nocy
I zlewasz na mnie cząstkę swej twórczej wszechmocy.

I takie są radosne dziś godzin spojrzenia —
Że rozpływam się cały w rozkoszy tworzenia . . .

RADOŚĆ

Przyjdzie czasem tak nagle — zda się — spłynie z słońcem,
I uderzy wprost w serce ogromnie tęskniące.

Czasem wzejdzie z spojrzeniem Twem — jak wschodzi rano —
Lub spłynie z słów melodją z warg Twych zcałowaną.

Gdzieś na łąkach niebieskich wonnych kwiatów narwie —
Sama wstąpi w te wonie, będzie w każdej barwie.

Błyśnie w moich źrenicach — nawskroś mnie przepali —
I rozpłynie się we krwi uśmiechem konwalij.

I rośnie — wciąż się wzmaga — potężnieje co dnia —
Myśl każdą... co się rodzi, kąpie w złotych ogniach.

Jej tchnienia się rozkoszą jakąś w duszy kładą...
— To święta Miłość życia... To słoneczna Radość!...

STANISŁAW KASZYCKI

CUKIERENKA

Porasta makiem ciszy mała cukierenka,
Świątyńka tak niedawnych (i tak dawnych) spotkań . . .
Jeszcze cień nasz się tuli w aksamitnych wnękach.
Senny półmrok przesyca wonność ciasta słodka.

Wieczorem łzy świetliste po żarówek rzęsie
Spływają nad wieczystem mijaniem rozkoszy . . .
Pianino w kącie zagra o barwnym nonsensie,
o złudzie, którą lotny wiatr stworzył i spłoszył.

Jakiś atom nasz został w tej salce maleńkiej:
cień głowy, którą-ś niegdyś o aksamit oparł,
przebrzmiały szept uczucia, tajny uścisk ręki
i spojrzenia, zamarłe pod snem żółtych kotar.

Rozwiązał się srebrzysty, harmonijny tercet:
ty — ja — i miłość nasza . . . Czekanie i przyjście . . .
Czasem tylko w twą stronę oglądnie się serce,
jak z mknącego pociągu powiew kwietną kiścią . . .

ALINA BUTRYMOWICZÓWNA

KRÓLOWIE-DZIADOWIE
(Pochód inwalidów do stajenki betlejemskiej).

W resztkach żołnierskich łachmanów,
w strzępach zrudziałych buciorów
od wszystkich zapomniani
przez drogi rozkisłe, przez śnieżne ugory
po błotach i śniegach i grudzie
gościńcami świata,
na drewnianych kikutach i gnatach
od nędzy naszej i klęski
za gwiazdą betlejemską
wędrujemy królowie-dziadowie,
inwalidzi, pokraki, półludzie:

Do Twojej idziem szopy
pobite nędzą chłopy
Jezu malusieńki — —

Tnie nam w oczy chlapawica
szarpie łachy wiatr —
z Twojej gwiazdy łzą w źrenicach
wędrujemy w świat —
królowie-dziadowie niesiemy ci w dani
złoto naszych krzyży i złoto medali:

za odrąbane gnaty
za naszej krwi szkarłaty
Jezu malusieńki — —

Idziemy do ciebie przez wszystkich okłamani —
Ty nam za krzywdy i za krew zapłacisz!
(w Twoje my imię mordowali braci):
„Chleba naszego daj nam dzisiaj Panie!"

Zlituj się, zlituj nad nami —
nad dziurawemi buciorami —
nad cuchnącemi onucami —
nad drewnianemi gnatami,
kulasami, kikutami:

w betlejemskiej stajence
oddasz nam nogi ręce
Jezu malusieńki — —

O ulep nam ręce i nogi nam ulep!
Skopani, zmiażdżeni, zszarpani przez kule
pokłóci ostrzami bagnetów
idziemy do Ciebie obdarci
ze złotem medali, dziadowie-trzykróle,
mieszkańcy rynsztoków i stróże prewetów,
pokraki, półludzie, bękarci:

Do Twojej idziem szopy
pobite nędzą chłopy
Jezu malusieńki — —

JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA

Z CYKLU:

TAŃCE O SŁOŃCU

— czym poto się rodził, by wciąż w ciche noce
wciąż tak się k'tobie strasznie rwać i płakać

— czym poto się rodził, by w wichru poszumie
w traw zżętych oparnym zapachu,
wciąż tęsknić k'tobie o ty słońce moje — —

czym poto się rodził, by wichrem tętniącym
wciąż się za tobą przez góry przewalać,
wciąż mącić morza zolbrzymiałą toń
dzwonić po piachu o twoim zachodzie,
niebem się krwawić w porannej pożodze
o słońce moje — — o moja tęsknico — —

— czym poto się rodził, aby tak z dnia na dzień
płakać i krwią rubinną każdy ślad swój znaczyć
i czekać chwili kiedy raz się skończy
i kiedy w piersi mojej bić przestanie
serce, co biedne twojem ukochaniem
i kiedy śmierć przesłoni błękitne wejrzenie
i gdy się zamgli w niem niema tęsknica
a cicha toń utuli
a dna żwir ukołysze
na wieczny sen — —

— gdy ci śpiewać będzie
rankiem, o świcie wstające
nad sine wody, tak wielkie jak twoje
jak twoje pieśni, biedne serce moje — —

EUGENJUSZ STANISŁAW STEC

OSTATNIA ZBRODNIA ARTELSA

I.

Jan Artels otworzył pocichu bramę i wymknął się na ulicę. Gdyby go kto nagle zapytał, dlaczego wychodzi zawsze tak ostrożnie, zmieszałby się napewno. Było to bowiem dawne przyzwyczajenie, pochodzące z czasów gdy Artelsowi niemiłym był widok urzędników o płaskich czapkach.

Każdego wieczoru odbywał Jan daleką drogę do apteki. Trwało to już rok przeszło i mieszkańcy miasteczka zdołali sobie wyszukać szereg innych ciekawych nowin. Z początku dziwiła wszystkich owa przyjaźń młodego prowizora z oberżystą, powoli jednak odwiedziny Jana stały się faktem uznanym i powszednim.

Za żelazną roletą powtarzało się codzień to samo. W świetle gazowej lampy błyszczały mosiężne płytki napisów, narzucały się oczom natrętne kształty flaszek i bani, a głowy Jana i prowizora pochylały się zgodnie nad księgą. — Czytanie wymagało nie byle jakiej wprawy; zatarte szeregi liter, pożółkłe plamy, pęknięcia i rozdarcia, stanowiły przeszkodę niemałą. Dla Jana najgorszem jednak było potykanie się zwroku o śmiesznie kręconem pismem znaczone greckie wyrazki. Dobrzeż to było mieć takiego pomocnika jak młody prowizor; czytał on gładko i rozumiał doskonale co znaczyły owe drobne łamańce.

Gdy prowizor godził się na wspólne czytanie uczynił to poprostu jedynie w nadziei pewnego urozmaicenia prowincjonalnych nudów. Nie oceniał też należycie zaszczytu jaki wyrządził mu Artels — wybierając jego właśnie na wspólnika w poznawaniu tajemnic. Stopniowo jednak odkrywał coraz więcej uroku w spędzanych tak wieczorach. Najpierw zajęły go jedynie surowe przepisy pierwszej karty, naiwne tytuły rozdziałów i obrzędowe znaki. Powoli jednak zastanawiać go poczęła powaga z jaką Jan sprawę traktował. Początkowo posądzał go jedynie o chęć znalezienia w księdze czegoś w rodzaju przepisu na sztuczne złoto, gdy jednak Artels

spokojnie wysłuchał rad księgi o sposobie odszukania skarbów. I wskazówek o przemianie płótna w złotogłów — zrozumiał iż w grę tu wchodzą względy inne. Każdego wieczoru oczekiwał prowizor napróżno odkrycia męczącej zagadki i wkońcu sprawa ta stała się dlań ciekawszą od samej księgi.

Nigdy zaś nie czekał na Jana tak niecierpliwie jak dzisiaj. Posłuszni surowemu ostrzeżeniu wypisanemu na pierwszej karcie odczytywali codzień zaledwie jeden paragraf. Z 380 paragrafów złożoną była księga, a wczoraj odczytali trzysta siedemdziesiąty dziewiąty.

To też, gdy Jan otworzył drzwi apteki, zakrzątnął się prowizor z niezwykłą żywością około codziennych przygotowań. Metaliczny śmiech opadającej rolety rozległ się o 10 minut wcześniej przed przepisową godziną. Ławę przysunięto już do lady. Lampa rozpaliła błyski w kolorowych flaszach. Należało jedynie otworzyć księgę. — W chwili jednak gdy prowizor rozsuwał zamek klamry, przykryła jego ręce szeroka dłoń Artelsa. — Prowizor spojrzał na Jana. Wydało mu się, że oczy oberżysty mogłyby dwiema okrągłemi plamami przepalić oprawę i grube karty księgi, równocześnie jednak ręka jego broniła gwałtownie otwarcia. Ostre rzeźby klamry wpijały się boleśnie w palce prowizora. Trzeba było koniecznie przerwać milczenie.

— Czy nie chcecie dziś czytać Artelsie? — Ręka oberżysty osunęła się ciężko na ladę.

— Boję się panie. —

— A czegóż wy właściwie szukacie w księdze? —

Przez rok cały czekał prowizor na sposobność jasnego postawienia sprawy i oto teraz dopiero mógł zadać upragnione pytanie.

Przez rok cały obawiał się Jan Artels tego pytania i przygotował na nie sporo wykrętów. Lecz zaskoczyło go teraz właśnie, gdy przeżył cała mękę oczekiwania i gdy za chwilę dowiedzieć się miał ostatecznie czy głupcem był jedynie, szukając tutaj pomocy. I niespodzianie zabrzmiały mu pierwsze słowa:

— Widzicie panie prowizorze, jestem zbrodniarzem. — Gdyby Jan wyznał że za pomocą księgi chciał zawrzeć przymierze z piekłem, słowa jego mniej byłyby zdziwiły prowizora. — Jan Artels? ceniony obywatel miasteczka? Właściciel zajazdu i członek rady?

Artels zaś gorączkowo, z pośpiechem rzucał wyznania dalsze. Skoro raz zaczął, wypowiedzieć musiał wszystko, do ostatka. Szybko płynące słowa kształtowały się w mózgu przerażonego słuchacza

w szereg potwornych wizyj. Mordy i grabieże, oszustwa i napady przesuwały się w pospiesznym korowodzie.

I w ciszy, która zapadła po ostatnich słowach Artelsa próbował prowizor napróżno skupić myśli. Dopiero spojrzenie na zamkniętą księgę przypomniało mu, że dotąd nie wie o najważniejszem.

— A czegóż od niej czekacie? Cóż wam pomoże? — Lecz tego przecie jasno niewiedział i sam Artels. Nie — nie szukał w księdze sposobów na uniknięcie kary. Wszystkie ślady były tak dobrze zatarte, że nie mogło być mowy o najmniejszem niebezpieczeństwie. Nikt dotąd w mieście nie znał go, i jego przeszłości. Niepokoju nurtującego w nim od dnia zaprzestania rzemiosła nie można też było nazwać głosem sumienia. Wszak jeszcze tam w starej ojczyźnie chcąc dokładnie skończyć ze wszystkiem, postarał się o rozgrzeszenie zupełne. Sumienie, woli księdza posłuszne, pozostawić go musiało w spokoju. — Z trudem wiążąc posłuszne niedawne słowa, starał się towarzyszowi i sobie przedewszystkiem, wytłomaczyć czego oczekiwał.

— Bo tak, oto chodzi — nie żebym żałował, — żyję teraz porządnie... Tylko widzicie, żeby tego nigdy nie było. I nie tylko dlatego że ja, że to przezemnie — tylko żeby nie było się stało. Żeby tamci jak inni ludzie... I żeby żyli tak, jakby byli, gdyby nie ja. Tak, — rozumiecie? nie o żałowanie idzie, tylko że ciągle myślę, że poco... i to jeszcze że byłoby się im wszystko ułożyło przeciwnie, gdyby nie ja. Więc żeby wrócić do tego i cofnąć. O! — rozumiecie? Odrobić...

Z opornych, bezładnych słów zwolna zestawiał prowizor sens nieoczekiwany. Więc szło aż oto? szybkim ruchem otworzył księgę i podsunął ją Janowi, rozjaśnił światło.

— Czytajmy, musicie się dowiedzieć co na nas czeka.

II.

A kiedy prowizor zamknął drzwi apteki, przystanął Jan chwilę na schodkach. Prawem ramieniem przyciskał kurczowo księgę i wydawało mu się, że przez skórę okładki i fałdy ubrania, odczuwa ciepło bijące z czerwonych liter ostatniego paragrafu. Już pierwsze słowa nagłówka, „O skutecznym rad sposobie na odczynienie rzeczy dokonanych“ przekonały ich obu że księga nie zawiodła. Czytali krótki paragraf przeszło godzinę; prowizor wytłomaczył wszystko rzetelnie... Teraz pozostawało już tylko wykonanie zaklęć. Jan usiadł

na ławce przed apteką. Do spełnienia obrzędów miał jeszcze sporo czasu, najważniejszą zaś była pewność, że znalazł czego szukał.

Przypomniał sobie teraz całe dwadzieścia lat oczekiwania. — Chwile niepojętego bolesnego niepokoju. Radość na wiadomość o księdze mającej na wszystko radę. Poszukiwania kramarza wędrownego, który ją od lat kilku obnosił w oczekiwaniu nabywcy-amatora.

Złe chwile już minęły, teraz czekało na Jana spokojne życie człowieka bez przeszłości. Za godzinę miał ujrzeć się znów w szeregu zdarzeń ubiegłych i w każdem postąpić inaczej, niż przed dwudziestu laty.

Powracający z winiarni radca Grade przeląkł się widząc ciemną postać siedzącą przed apteką. Uspokoił się jednak zaraz poznawszy Artelsa — Musiał biedak zasiedzieć się w aptece i drzemie teraz — pomyślał przechodząc.

— Kroki radcy wyrwały Jana z zadumy — zbliżała się pora zaklęć. Miał już wyruszyć w stronę lasu, gdy myśl nagła przygwoździła go do ławki. Jakżeż to będzie? Ujrzy miejsca i ludzi dawnych, postąpi w inny sposób, lecz któż mu da pewność, że przebudziwszy się rano nie weźmie przeżyć nocy za senne złudzenia.— Żaden z zamordowanych nie wie, gdzie go szukać, żaden nie przyjdzie tutaj, by mu powiedzieć: „patrz nie zabiłeś mnie wcale". Pozostawało jedno tylko — z obecnego faktu uczynić zakładnika, poręczyciela za prawdę cofnięcia minionych. Do północy brakowało zaledwie pół godziny. Trzeba było się spieszyć z wykonaniem planu. Przypomniały mu się dawne czasy; sposobem sobie tylko znanym rozkręcił kłódkę, zamykającą drzwi boczne. W aptece nie było nikogo, lecz w przyległym pokoju paliła się jak zwykle lampka. Młody prowizor spał mocnym, młodym snem, którego odegnać nie zdołały nawet wstrząsające wrażenia wieczoru. Artels ostrożnie otworzył szufladę biurka — spokojnie opatrzył broń. Potem wymierzył dokładnie i z rozwagą.

* * *

Śledztwo w sprawie morderstwa w aptece trwało krótko. Winowajcy nie trzeba było szukać, sam zjawił się rano na miejscu zbrodni. Już wówczas zadziwiło wszystkich jego zachowanie. Podszedł wprost do zmarłego i ujął go za rękę. Stojący bliżej słyszeli iż mówił mu o jakiejś księdze, która nie okłamała. Mimo świadectwa radcy Grade i mimo rewolweru znalezionego w kieszeni

kurtki, morderca nie chciał przyznać się do winy. Co najdziwniejsze usiłował przekonać wszystkich, że młody prowizor śpi tylko.

Lekarz sądowy potwierdził podejrzenia sądu. Było to zresztą jedyne wytłumaczenie sprawy. Po długiej obserwacji uznano, że szaleństwo więźnia przeszło w stan nieszkodliwy. Odesłano go do miejsca pobytu. Pełne litości spojrzenia i słowa sąsiadów zamarły zdumione na widok radosnego wyrazu twarzy starego oberżysty. Jan Artels wychodził teraz zawsze śmiało z domu. Nie miał powodu obawiać się urzędników w płaskich czapkach, wszak był człowiekiem, który nigdy nikogo nie zabił.

HELENA MOSKWIANKA.

DZIAŁ KRYTYCZNY

Jan Pietrzycki: „Włoskie Madonny", poezje. Kraków, 1928 r.

Nakładem księgarni S. A. Krzyżanowskiego. Stron 48.

Ostatnia serja poezyj Pietrzyckiego p. t. „Włoskie Madonny", jest dalszą kontynuacją tej wielkiej, pełnej słonecznej zadumy, uczuciowości, jaka jest najistotniejszą cechą całej wogóle dotychczasowej twórczości tego naprawdę wytwornego i ujmującego poety.

Pietrzycki, to — neo-klasyk najczystszej wody.

Zajmując się swojego czasu na szerszą skalę tłumaczeniem liryków rzymskich i greckich, przejął i nauczył się od nich wiele — bardzo wiele. Im to przedewszystkiem zawdzięcza ową harmonję i soczystość wiersza, ów pełny uroku umiar artystyczny, ową klasyczną — niemal świątynną powagę

Na nich właśnie wykształcił i wykołysał swoją duszę rozmiłowaną od najwcześniejszych lat w tem wszystkiem, co piękne, na nich również kształtował i rozwijał swój — zawsze pełen najsubtelniejszych odczuć — talent, kulturę słowa i technikę wiersza.

Pietrzycki, to zarówno — prawie jedyny dziś w swoim rodzaju — epigon „Młodej Polski", wraz ze wszystkiemi jej naleciałościami, błahostkami i manierami...

Forma dla Pietrzyckiego jest zawsze najpierwszym i zasadniczym warunkiem tworzenia. I stąd to pochodzi, że pod osłoną cudownej nierzadko formy — tak mało kryje się myśli...

Przytem poeta za dużo posługuje się t. zw. „opisowością", rezygnując nierzadko zupełnie świadomie (czego właśnie należy żałować) z wewnętrznego podchodzenia do swoich koncepcyj myślowych, na rzecz formy, — i tylko formy.

Zbiorek cały dzieli się na cztery cykle: „Włoskie Madonny", „Błękity św. Franciszka", „Po drodze" i „Niedokończony Finał". Dwa pierwsze — dobre — idą ze sobą w dość zgodnej równoległości choć „Błękity św. Franciszka" (prócz jednego wiersza — pierwszego, same przekłady z Fioretti) są stosunkowo o wiele słabsze niż „Madonny". Cykl trzeci (Po drodze) posiada tylko dwa niezłe wiersze t. j. 1) „Faun Pompejański", 2) „Fontanny Rzymu". Najsłabszym natomiast jest cykl czwarty i ostatni zarazem — (Niedokończony Finał).

Całość drukowana na pięknym, bezdrzewnym papierze — posiada subtelną kredową okładkę z cennym obrazem: „Madonna między drzewkami" (Madonna degli alberetti) Jana Belliniego.

W końcu należy jeszcze nadmienić, iż „Madonny" Pietrzyckiego ukazały się równocześnie i w języku włoskim, w niezwykle pięknym przekładzie A. Corsiniego.

Michał Rusinek: „Kapitan Czerwonego Widma", nowele. Katowice, 1928 r.

Nakładem księgarni „Stella". Stron 127.

Debiut Rusinka przeszedł jakoś bez silniejszego zainteresowania, mimo — na ogół — dość interesujących tematów, jakie autor poruszył w swojej książce. Znając mianowicie dobrze morze i pełne zabobonów, awantur i przygód życie marynarzy, napisał Rusinek na tem tle cztery nowele (piąta i ostatnia nowela p. t. Okno „Egipskiej Willi" — stoi poza nawiasem powyższego cyklu, jako treściowo i tendencyjnie zupełnie odmienna) o treści fantastycznej, niesamowitej, pełnej eksentrycznej inwencji i egzotycznych epizodów.

Tak bowiem, najogólniej, przedstawiałaby się „wewnętrzna" strona tych nowel. „Zewnętrzna" natomiast (przeprowadzenie techniczne) pozostawia — niestety — jeszcze bardzo wiele do życzenia.

Najdotkliwiej — razi brak artystycznego wyrobienia w kolejnem przeprowadzaniu poszczególnych części akcji — zwłaszcza djalogów. — Język Rusinka — potoczny, konwencjonalny. Styl mało pociągający; miejscami naiwny.

O ile Grabiński, do którego Rusinek zbliża się poniekąd przez „niesamowitość" tematów — zawsze prawie panuje nad formą i szczegółami swych powieści czy opowiadań, o tyle braku tego u naszego debiutanta nie można absolutnie niczem wytłumaczyć i usprawiedliwić.

Prócz tego jest się jeszcze w dodatku pod ciągłem wrażeniem, że utwory swoje pisał Rusinek naprędce — jakby na zamówienie... Pytam się, czy tylko w ten sposób pojmuje autor swój zawód pisarza —? Bo jeżeli przypadkiem... nie (a tak i mnie się zdaje), — to pocóż w takim razie ogłosił drukiem swoje nowele —? Gdyby chodziło wreszcie o podanie pozytywnej wartości poszczególnych utworów, to na czołowem miejscu (bez wahania) postawiłbym pierwszą nowelę p. t. Kapitan „Czerwonege Widma", od której nazwany został cały cykl; na ostatniem — ostatnią (Okno „Egipskiej Willi").

Zdaje się, że na tego rodzaju klasyfikację... nawet i sam autor się zgodzi, tembardziej, że ostatnia nowela jest tylko niepotrzebnym „dodatkiem" i równie dobrze — bez szkody dla całości — można ją było pominąć...

Kazimiera Iłłakowiczówna: "Z głębi serca", poezje. Warszawa, 1928 r.

Nakładem Gebethnera i Wolffa. Stron 205.

Twórczość tej ciekawej i nieprzeciętnej poetki od samego zarania aż po dzień dzisiejszy, włącznie, jest ciągłem, bezustannem szukaniem samej siebie — swojego „ja" twórczego. Nic więc innego, zdaniem mojem, tylko to

szukanie, to ustawiczne, niesłabnące zmaganie się z tem wszystkiem, co w pojęciu nawet konwencjonalnem zwykle składa się na nasze życie, tylko to właśnie, jak mówię, a nie co innego — „zrobiło" i „robi" z niej w dalszym ciągu poetkę o „szerokim oddechu", o „wielkim talencie" — tak wybitnie różniącą się od swoich rówieśniczek i konkurentek...

Co więcej szukanie to — jak dotychczas — nie szło nigdy i nie idzie drogą najmniejszego oporu. Nie jest ono również cechą zewnętrznych tylko asocjacyj, choć czasem znowu (a zdarza się to o wiele częściej, — niżby się przypuszczało) — nie można wprost wyłowić owego bezpośredniego i najintymniejszego (a więc wewnętrznego) stosunku poetki do zagadnień, jakie ją interesuja.

Powody tego mogą być, oczywiście, najrozmaitsze.

Chciałbym tu podkreślić — najogólniej zresztą — kilka bardzo znamiennych i ważnych rysów u sympatycznej dla mnie autorki „Ikarowych lotów". Niema mianowicie w poezji Iłłakowiczówne] — tej lekkiej, zwięzłej konstrukcji myślowej, któraby brała „z miejsca". Niema również — tak modnej dziś — apoteozy słowa. Prostota jej poezji, w żadnym wypadku nie polega na t. zw. bezpośredniości odczucia. Sprawia to zbyt drobiazgowe chwytanie istoty rzeczy od „wewnątrz" i ciągłe, jak zaznaczyłem już wyżej — zmaganie się z sobą...

Do tego należy dołączyć jeszcze pewnego rodzaju „niezdecydowanie" (jeżeli chodzi o pewność wewnętrznych przeżyć), co razem wzięte — jest znowu niczem innem, jak tylko walką o wyzwolenie siebie z jakichś ślepych, nienazwanych sił, walką, o znalezienie siebie — swojego „ja".

Poetka, przy tem wszystkiem, jest ciągle jeszcze w fazie — że tak powiem — „twórczego rozrastania się", a więc ciągłego poznawania, doświadczania, przekonywania się, uśmiercania jednych przekonań kosztem drugich i t. d., czyli — innemi słowy, jest dopiero w pełnym trakcie dojrzewania i krystalizowania się.

Ostatni tom „Z głębi serca" (14-sty z rzędu) choć zasadniczo nie różni się tak wybitnie od dawnych, ma jednak coś, czego tamtym brak.

Przedewszystkiem forma jest tu już prawie bez zarzutu. Treściowo i refleksyjnie zaczyna się poetka pogłębiać, czego w poprzednich jej utworach — trudno się jakoś było dopatrzeć.

A więc mamy przed sobą talent w pełni rozwoju.

... Po cichej, prawie niemej skardze, jaką zanosi poetka do Boga i jaka jest istotą „Pacierza rannego" (najcenniejszego, zresztą, utworu w całym tomie), po chwilach wewnętrznej rozterki, szamotania się i ekstatycznego rozważania nad tajemnicą niedoskonałości człowieka, przychodzi — jak zawsze w takich wypadkach — gorące poznanie że:

„Jeszcze nie wszystko we mnie jest dla mnie znajome.
Żyję w przedsionku, jak na słonecznem podwórzu...
Jest dom i korytarze ciemne i kryjome
i zegar, który drży jak serce i jak serce dzwoni,
i galerje, patrzące umarłych oczyma
i Bóg, który jest wszędzie, jest tam, gdzie mnie — niema".

Tak. To jest naprawdę wielka poezja. Tu jest już prawie wszystko — nawet Bóg, którego jednak dlatego jedynie poetka nie zauważa, że „osobiście" Go jeszcze dotąd nie znalazła, przechodząc zawsze — dziwnie — mimo Niego...

Sądzę, że to właśnie zagadnienie dotyczace Boga, jako najistotniejsze powinno być dziś dominującem i jedynem u poetki.

Najpierw jednak trzeba skończyć stanowczo z wszelkiego rodzaju „patrjotyczną publicystyką" (choćby ona była niekiedy szczerą poezją), bo w ten sposób, będzie poetka siłą faktu tylko oddalać się od siebie. A szkoda!...

W. M.

Zwrotnica

MIESIĘCZNIK
POETYCKI

KRAKÓW 1928. № 4—5

TREŚĆ:

Redaktor naczelny: ***LUCJAN PATRYCY***
Redaktor odpowiedzialny: ***WŁODZIMIERZ MIHAL***
Wydawca: koło art. lit. ***„EZOTER“***

Adres Redakcji i Administracji: Kraków, ul. Św. Marka 25/III. p.
Redaktor przyjmuje w soboty od godz. 15—16.

WARUNKI PRENUMERATY:

Kwartalnie zł. 2.80, półrocznie 5.30, rocznie zł. 10.—
Numer pojedyńczy 1 zł.
Konto czekowe: P. K. O. 408.494 Kraków.

EZOTER

MIESIĘCZNIK POETYCKI

PAŹDZIERNIK - LISTOPAD 1928

ROK I. ZESZYT 4—5.

K R A K Ó W

I NIE WÓDŹ NAS NA POKUSZENIE...

W milczeniu drepcemy po pustych, po mrocznych jak grób kurytarzach,
Szepcemy żarliwie modlitwy w olbrzymich sklepionych galerjach,
Wielbimy moc Nieznanego, co stworzył i niszczy by stwarzać,
Liczymy czas w ziarnach różańca, — kochamy ciszę i brewjarz...

— — — — — — — — — — —

Ach, gdzież jesteście słodkie strofy Horacego? —
Gdzie są ogrody róż pełne, słońca i ciemnej zieleni bukszpanu? —
Kto was przepisał rękoma drżących przed grzechem kapłanów? —
Kto nas nauczył radości złotego szczepu winnego? . . .

— — — — — — — — — — —

Samotni mieszkamy w swych celach, na twardych sypiamy tapczanach,
W pokorze czynimy pokutę, — w nadziei suszymy — płaczemy —
Z miłości bicz chłoszcze i rani, — opuchłe pękają kolana —
W miłości znosimy przykrości, — z uśmiechem na wargach pomrzemy...

— — — — — — — — — — —

Nie znamy was! — wśród pszczół brzęczących i wśród kwiatów,
Nad szmaragdowym brzegiem gładkiego jak puklerz jeziora
Wijemy wieńce „Panu" — bogu światów —
Objąty z cypru niosąc w krużach i gąsiorach . . .

— — — — — — — — — — —

Rankami, gdy słońca promienie roztęczą się w barwnych witrażach,
Gdy niebo w organach się zniży pod stropy gotyckiej kaplicy,
Wśród dymu kadzideł się snuje, ogromem radości przeraża
Misterjum krwi — z chleba i wina w najświętszej swej Tajemnicy...

— — — — — — — — — — —

Złotego moszczu gęstą słodyczą spojeni
Uderzmy w bębny, dzwonki, piszczałki i fletnie . . .
Śmiech gromki: — to Sylenus w Priapa się przemienił!
Evoe! — nie wracajmy do domów przededniem. . .

Na koźlich nogach chodźcie kudłate satyry,
W lamparcich skórach radość mieszka... tańczmy i szalejmy! . .
Białe nimfy, — rusałki — siostry srebnych syren
Z wysoka lejąc pijmy pucharem kolejnym! . . .

Evoe! — klaszczmy w ręce, — uwijmy z róż wieńce!
Cieszmy się winobrania okrągłą sytością,
Pijani ud białością, moszczem i miłością
Prośmy „Pana" by Życie zrobił wiecznym jeńcem . . .

— — — — — — — — — — —

W milczeniu drepcemy po pustych, po mrocznych jak grób kurytarzach,
Szepcemy żarliwie modlitwy w olbrzymich sklepionych galerjach,
Wielbimy moc Nieznanego, co stworzył i niszczy by stwarzać,
Liczymy czas w ziarnach różańca, — kochamy ciszę i brewjarz . . .

RADOŚĆ

Kościste wzajem bracia uścisnęli ręce
I na krzyż je złożywszy przysięgli z ochotą —
„Smutek" jak popiół szary, w długich, białych szatach
I „Męczeństwo" z cierniowym zamiast chusty wieńcem,
— że żadne w drzwi „Radości" dziś nie zakołata . . .

— — — — — — — — — — — — — — —

Przysięgli — a nad ranem poprzez czarne błoto
Spiesznie przejechał wózek z księdzem w białej komży
i chłopcem – (dzwonek!) – radość!... – wreszcie mogę umrzeć!...

ADAM M. NOWAKOWSKI

PODRÓŻ Z BAJKI

O, dalekie przestrzenie, cudowne podróże,
któreśmy w myślach odbyli we dwoje.
Błękitnych mórz zatoki, krwawe włoskie róże
i alpejskich strumieni zimne, czyste zdroje.

Miast dalekich nieznane, barwne tajemnice,
I mroczny urok cichych, przedwiekowych tumów...
Paryż: zalane światłem, szumiące ulice
i gwar żyjących spiesznie, gorączkowo tłumów.

Rozmarzonych magnolij cudne, białe kwiecie — —
Klasztorów średniowiecznych tajemnicza trwoga,
i szczyty gór śnieżystych, jedyne na świecie,
gdzie się dusza tak blisko, blisko czuje Boga.

Nasza podróż skończona. Deszcz o szyby dzwoni.
Świat się w szarej i smutnej, sennej mgle zatraca.
Ja — napróżno wciąż tęsknię do światła i woni,
tyś odszedł sam w krainy, z których się nie wraca.

MARJA FILIPOWICZÓWNA.

TRYPTYK JESIENNY

I

Z pól oślizgłych, jak z serc nędzą codzienną przeklętych,
zrywają się co chwila czyjeś skargi i płacze . . .
O, wiem, że i moje się kiedyś wypełni
posłannictwo święte: ciche życie tułacze.

Że . . . odejdę jak inni . . . by w wiecznem błądzeniu
dręczyć monotonją i straszyć po nocach.
By wyć po rostajach i śmiać się i szydzić
z żyjących, jak wichry w szatańskiej wszechmocy . . .
By jęczeć i szlochać — — — !

O, straszna Tajemnico! Czarnych gromów mój Boże!
Niech dziś jeszcze ma dusza w Twej spocznie ciemności!
Niech w jesienną szarugę się zmieni . . . a w wichrach —
o Tobie niech wyje, przenajświętsza Nicość

II

Smutne oczy, żałobne, mają słowa wieczorne
tęskniące melancholją jesiennego nieba . . .
Błogosławię was, drogie chwile, radosne spojrzenia,
i ciebie, śmierci, zrodzoną z powszedniego chleba.

Jak myśli tętnią godziny odwiecznym obiegiem,
na pulsach swych dzierżąc z mgieł tkaną koronę.
Chłodną wilgocią mży głucho bezsenność —
i czoła się chylą zadumą zmęczone . . .

Po pustych rozłogach błądzi serce mdłym cieniem — —
Czyje, — pytasz, — czyje? . . . — Niech noc ci odpowie!
. . . Błogosławię was, drogie chwile, radosne spojrzenia,
i ciebie, jesieni, w każdem wieczornem mem słowie . . .

III

Deszcz dzwoni o rynny . . . a usta twoje
całują łapczywe spojrzenia
oczu, co kwitną cmentarnym spokojem —
oczu, co więdną z milczenia.

Deszcz mówi o tobie, kochanko jesienna,
nastrojów mych — wróżko widmowa,
jak o mnie wichurą upiorna gehenna:
obłędem zatrute me słowa.

WŁODZIMIERZ MIHAL

WIEJSKI KOŚCIÓŁEK

Na zwgórku —
pośród lip —
niby wędrowny dziad
przysiadł kościółek drewniany.
Po ścianach spływa starczy skrzyp
stuletnich, rosochatych lip.
Po przez okienka kolorowe
przesącza się przez drzew zawoje
przesiany
ruchliwy migot słońca.
Od łąk, od pól, od stawisk, chat,
niby modlitwa gorąca
a cicha, korna, serdeczna —
idzie westchnienie nabrzmiałe męką . . .
I tak od wieków — i tak od lat
płynie do bierwion skleconych niezdarnie,
do tych drewnianych, spaczonych ścian,
pieśń niepojęta, żywa, odwieczna
pieśń o s p r a w i e d l i w o ś c i!
Tam — na pagórku, gdzie mieszka Pan,
cichną rozpacze, bóle, męczarnie . . .
I na tem wzgórku — tam —
u zapadłych bram,
kładzie się pieśń ta cicho, bezszelestnie,
uśmiecha się jak dziecko we śnie
i w mgielnej ciszy się rozpływa . . .
I znów do pól, do łąk, do stawisk, chat,
wraca z nabożnem ukojeniem.
. . I tak od wieków — i tak od lat!
— — — — — — — — — —
Tam — na pagórku, pośród lip,
drzemie drewniany kościółek . . .
Patrząc na płowe łany,
miedze i sady — w każdy zaułek
uśmiecha się ten stary grzyb . . .

LUDWIK RAWICZ-SKAWIŃSKI

PIELGRZYM

Jaskółki nisko śmigają na ostrych, śliskich skrzydłach —
róże w słonecznej ciszy szkarłatną pieśnią dyszą — —
Kopuła nieb z szmaragdów i rżniętych chryzolitów
stężała ponad ziemią: nad misą z jaspisu — —

Przed dworem krwi kropelki szkarłatnych pelargonij
perlą się długim sznurem pod ścian słoneczną bielą — —
W duszącym róż zapachu, w męczeńskiej agonji
spływa uśmiech miłości z warg Jana Chrzciciela — —

Na wyplatanych krzesłach pod sennym kasztanem
siedzę naprzeciw Niego — niewierny apostoł:
wkładam palec w głęboką, broczącą krwią ranę,
ze łzami w oczach słucham słów wielkich a prostych — —

Nad sercem mem przeciąga płomienisty wicher:
po spalonych sztandarach tnie w oczy popiołem — —
A On jest jak sen morza głęboki i cichy,
tchnie boskiem miłosierdziem w uśmiechu anioła — —

Dłonie ma prześwietlone z ranami od gwoździ:
dyszą szkarłatnym żarem jak róże rozkwitłe —
pełne są przebaczenia, dziewczęcej tkliwości,
śnieżą się jako lilje strzelistą modlitwą — —

POWÓDŹ

Hej ! hej ! wy ludzie nad brzegiem stojący
wśród szumu i ryku topielisk
cóż wasze osęki z fal garną?
co wloką wśród nocy z roztoczy szumiących
z wód wściekłych upiornej gardzieli?
Krzyże — e cmenta — a — a — rne — e — e — — !

Rozwaliły wał brzegów straszliwym naporem
oszalałe strumienie i rzeki —
walą wodnym potopem fal ryczące upiory
jak kraj długi, szeroki, daleki — —
W grzmocie wichrów się kłębią
wodne cielska opuchłe, złowieszcze:
głuche gromy podziemne przetaczają wśród głębin,
szumem skrzydlisk potwornych dmą w przestrzeń — —

Hej ! hej ! wy ludzie nad brzegiem milczący,
cóż wasze osęki garną z wód otchliska?
co wloką wśród nocy na fali szumiącej?
Dziecko z koły — y — y — ską!

Wód nawałnice i bełty ochrypłe
od ryku w ciemnościach straszliwych,
rwą opętane w huku czarnych wichrów,
grozę i pogrom miotąc na fal grzywach — —

Hej! hej! wy ludzie nad brzegiem milczący
cóż wasze osęki dzierżą na żeleźcach?
co wloką wśród nocy na fali ryczącej?

Cia — a — a — ało topie — e — e — elca — a — a — !

Któż tam na nurcie głównym wód szalonych
płynie skroś wychrów na falach śródrzecza:
Słup gorejący w cierniowej koronie?!

Syn — Syn Człowie — e — e — eczy — —.!

Hej! hej! wy ludzie nad brzegiem klęczący!
czyli słyszycie głos z wodnych czeluści,
w noc niebios łzami i sercem bijący:
Ojcze! mój Ojcze! — czemuś ich opuścił?!

JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA

PIERWSZY POCAŁUNEK

Tak cichutko ta chwila podbiegła aż ku nam...
Jakąś pieśnią słoneczną spoczęła na piersi —
Jeno serca strwożone były za zwiastuna,
Jeno sobie nawzajem byliśmy najszczersi.

W duszach świętość nam legła, jak w niedzielną sumę
W czas podniesienia, w cichym, góralskim kościele....
Blaski w sercach przyklękły rozmodlonym tłumem,
Choć świat przygasał w mroku, jak iskry w popiele.

Rzeka ciche ze srebra składała pacierze;
Modliła się błyskami fal i sennym rytmem...
A usta się ku sobie w przenajświętszej wierze
Pochyliły, skłoniły, jak dwa kłosy żytne.

Pachnące pęki uczuć, jak róże na wiosnę,
Rozwiły się pod Bożem tchnieniem rozmiłowań...
I godziny zakwitły słońcem tak radosnem,
Jak o jasnem świtaniu pól cicha wymowa.

Bóg sam przeszedł koło nas cicho, bezszelestnie,
I przez chwilę zagościł, jak w gotyckim tumie
W naszych duszach i tak je słonecznie rozpieśnił,
Jak sny dzieci, idących do pierwszej Komunji...

WYSPIAŃSKI

Nawy cichość obsiadła — cichość przejmująca.
. . . I nawet drgać przestały złote ptaki słońca.

Czasem wzleci westchnienie nad tłumem, co klęczy,
By błysnąć pawiem okiem na gotyckiej tęczy.

Czyjś duch dobry w świątynię wstąpił cichym krokiem,
I zakwitnął kwiatami w barwnych szybach okien.

Czyjś duch dobry zawisnął ponad rzeszą mnogą
I złagodził na twarzy Boga-Ojca srogość.

Ktoś rozlał tajemniczy wiew słodkiej nadzieji,
I cichszym jest dziś smutek świętej Salomei,

Tęczowe ćmy witrażów modlą się hymnami
I szepcą: Wielki Boże! Raduj się Ty z nami!

Kto — kiedy — ich nauczył wiośnianych pacierzy?
Czemu kwiaty na ścianach pachną dziś, jak świeże?

Czemu lilje na szybach śmieją się radością?
Kto rozdzwonił dziś majem ten gotycki kościół?

Kto mnie dzisiaj miłością nieziemską obdarzył,
Że modlę się ustami Franciszka z witrażu?

STANISŁAW KASZYCKI

ŻNIWO

Wyzłociły się gwarne, kołyszące łany,
Ogniem zorzy wieczornych, rozblaskiem świtania.

Opalone od wichru, ściemniałe od cieni,
Stoją proste, błyszczące, jak snopy promieni.

Zakasać trza rękawy do roboty szparkiej —
Wjeżdżamy dzisiaj w pole z pochrzęstem żniwiarki.

Bujne nasze ogiery w żniwie spracowane
Runęły w odmęt zboża spuszczonemi łbami.

Zatargały transmisje zgrzytliwym warkotem, —
Łamią łany srebrzyste, rozchwiane w chybocie.

Ze świstem lecą fale ścinanych pokosów
Bryzgając wierzchem pianą wybielonych kłosów.

Spiętrzają się w naręcze, jak bochny złociste
Spadające brzemieniem na gładkie ściernisko.

Stal kosy wyzębionej świegotliwie śpiewa
Pieśń trudu słonecznego, zaczętego żniwa.

Od rozświtów zarania, w południa spiekotę
Do nocy, łan za łanem walimy pokotem.

Aż w miesiącu nad polem pociętem w pokosy
Zabłyśnie srebrna taśma podniesionej kosy.

JAN KAZIMIERZ ZAREMBA

ZBRODZIEŃ

W Kościele Przenajświętszej Panny Marji co dnia,
W ciche szepty prymarji wtapiały się słowa
Bolesnością nabrzmiałe, jakiegoś przychodnia,
Co na klęczkach, skruszony wiódł z Bogiem rozmowę:

Boże! bądź miłościw mnie, grzesznemu . . .

Przemijały jesienie, przemijały wiosny — —
A brzaski na witrażach śmiały się radośnie . . .
Jemu z ócz nie płynęły spojrzenia miłosne —
Padał w krzyż przed ołtarzem, bił się w pierś bezgłośnie:

Boże! bądź miłościw mnie, grzesznemu . . .

Lata pierzchły jak gołąb nagłym strachem zlękły . . . — — —
Z trudem wielkim, codziennie giął starcze kolana —
Twarz zorały mu smutki i tłumione jęki
Stygmatami męczeńskiej śmierci Sebastjana:

Boże! bądź miłościw mnie, grzesznemu . . .

— — — — — — — — — — — — — —

Dzisiaj ciszej niż zwykle słychać szept prymarji
I srebrniej mały dzwonek dźwięczy w zmilkłych nawach . . .
Jedno serce dziś pieści kościół Panny Marji,
Jedno serce dziś godnie głosi Boga sławę:

Boże! bądź miłościw mnie, radosnemu! . . .

I zbudziły się nagle złocone anioły,
Słońcami zapłonęły milczące witraże,
Kolumny się nagięły ku sobie pospołu
I wtórzyły radośnie echom cichych zdarzeń:

Boże! bądź miłościw jemu, radosnemu! . . .

DO ŚMIERCI

Wiem, że tutaj niedługo skończę ciężkie boje —
Ty przyjdziesz, dobra siostro, zamknąć oczy moje . . .

Graalowe szukania, nocne nieukoje,
Chłodną dłonią litości wstrzymasz i ukoisz.

Przyjdziesz późną jesienią w cichym liści poszumie,
Siądziesz przy mnie na łożu, spojrzysz w serce — zrozumiesz . . .

Dusze będziem przelewać w szczerej, ufnej rozmowie,
Potem padniem w objęcia, jak serdeczni druhowie . . .

Spokój świętych anhelic grać nam będzie pieśni,
Aż ty się dobra siostro we mnie ucieleśnisz . . .

Zostawię poza sobą gniewy, miłowania —
Już bolesne zawody serca mi nie zranią.

Ostatnie me spojrzenie po ścianach się zbłąka,
Ostatnia po mej twarzy spłynie łza rozłąki . . .

Nie przestraszy mnie więcej żadna ludzka trwoga —
Pójdę w skrusze, pokorny, po rozkazy Boga . . .

LUCJAN PATRYCY

JA WIEM, ŻE PRZYJDZIE DZIEŃ . . .

Ja wiem, że przyjdzie dzień,
kiedy ze drżeniem przed twym progiem stanę
i znajdę przed nim jeno kij i sakwę . . .

Rąz tylko spojrzę na twe drzwi ukradkiem
czy się klucz w zamku cicho nie obróci —
i pójdę . . .
Potem z pod domu
ku oknu spoglądnę
czy może głową
raz jeszcze nie skiniesz na pożegnanie —
i wolno pójdę dalej . . .

I na gościńcu wiodącym na światy —
od domu twego dalekim gościńcu —
będę czekała
oczu tęsknotą
czy ty nie zbliżasz się
spiesznemi kroki . . . .

Lecz tylko pył gościńca przed sobą zobaczę
i cicho pójdę dalej . . . .

Ja wiem, że przyjdzie dzień,
kiedy ty spojrzysz z za szyb
za mną, przez łzy, —
kiedy wybiegniesz na drogę,
aby odszukać mnie! . . .

Ja wiem, że przyjdą dlugie tysiąclecia,
w których twa dusza
na orlich skrzydłach ku mnie rwać się będzie . . .
Ja wiem, że moja dusza
dla ciebie śpiewa wieczności pieśń! . . .

DUSZA CZARA
z niem. tłum. J. A. Gałuszka.

OCZEKIWANIE

Już mgła jesienna ciągnie się polem
I przed oknem rząd astrów przekwita . . .
Jeszcze mi pachną łąki, kąkole,
Maki i kłosy pszenne i żyta.

W ogrodzie drzewa i zżółkłe liście,
Świst wiatru przeciągły, przydługi — —
Czekam w mieszkaniu na twoje przyjście
Dzisiaj, podczas jesiennej szarugi . . .

Szelest deszczu i dźwięczny stuk rynien.
Chlupot płynącej wody w rynsztoku — —
W oczekiwaniu wieczór przeminie . . .
— Nie warto światłem rozpraszać mroków.

Wiem, że nie przyjdziesz na taką słotę — —
(Niegdyś przyszłaś w czas śnieżnej zawiei...)
Idziesz . . .
Serce mi bije, jak młotem — —
Nie . . . To wiatr strąca liście w alei . . .

MIECZYSŁAW MIKOŁAJ WOJTASZEWSKI

POWSTANIE TATR

Tatrun se zdrzymnon — Kiz to djabli? — pado:
jo bede drzymoł? — mnie sie drzymie rado! —
Hale haw djabli bedom gospodarzyć —
w kociełku moim spyrki bedom skwarzyć?! . .
Hi — wstoł . . — poprawieł se pasa na grzbiecie —
zacon wędrować po caluśkim świecie —
Przyseł ku wodzie, ka sie świat juz kończy . . .
Patrzy . . — Ki djabeł?! — ba — hań Corny tóńcy! . . .
Skoce, jak pieron . . piane z pyska tocy —
co pringnie z ziemie siedem mil uskocy. —

No i nic — Wyziyro Tatrun zo skały,
a ten tak tóńcy . . he spocił sie cały,
wywałył ozór . . . — E he bracie — mom cie!! —
Ty bees tońcył haw? na moim groncie? —
Kie gwiźnie w zęby — poprawiył mu z boku . . .
Poleciały kudły ku Morskiemu Oku . .
Ba haj! . .
Corny wzion na jambit — uskocył znów mile,
gwizdnon na palcak . . — He — za jednom file
ziemia rusyła, jak zywo — i skały
oddarte od ziemie leciały . . . —

Lecom . . .
iskrami świycom,
świat pokryły cały! —
A Tatrun stanon — Skały koło niego
legły niezywe . . .

GUSTAW SUSKI

POECI I PUBLICZNOŚĆ

W tytule tym tkwi antyteza.

I nie może być inaczej. Szczera, prawdziwa, twórcza poezja nie może być nigdy w zgodzie z publicznością. Między najwyższemi natchnieniami a ideałami gromady ludzkiej jest wieczny rozbrat. I na tem polega wielkie posłannictwo poezji. Nie pozwala ona nigdy gromadzie spocząć na laurach, usnąć czy skamienieć. Zmusza ona ludzkość do coraz to wyższych wysiłków, chłosta ją, biczuje, obrzuca wzgardą, wyszydza, gra na wszystkich strunach duszy, aby ją oderwać od jej przyziemności.

I tak wciąż naprzód i wciąż wyżej!

Poezja jest posłanką wiecznego nieukoju, wcieleniem uranistycznych inspiracyj, ustawicznym buntem, rewolucją w świecie ducha. Tylko taka poezja jest naprawdę twórcza. Wszelki kompromis z gromadą jest klęską poezji i ludzkości. Kto schlebia gromadzie, kto zachwyca się tem, co się jej podoba, kto ma z nią wspólne gusta, ten może być pierwszorzędnym wirtuozem formy, ale twórcą, poetą, nigdy nie będzie

Gdybyśmy spalili wszystkie wiersze świata, uwielbiające nowoczesne wynalazki i maszyny, sport, potężny rozwój współczesnej wiedzy — nie uronilibyśmy z tego powodu ani jednej łzy, bo poezja ta nie ma żadnej wartości.

Nie ma żadnej wartości, bo nie ma nic nowego, twórczego do powiedzenia. Taka „poezja" może nie istnieć. Nikt z tego powodu straty nie poniesie. Ale z drugiej strony niezadowolenie z tego, co jest, co się już osiągnęło, nie może być sztucznie stworzonem, nie może być programowem, ale winno być czemś samorzutnem, wypływającem z odczuwania nowego ideału, z głębokiej rozterki ducha, z twórczej tęsknoty za czemś wyższem.

Kto tej wewnętrznej udręki nie odczuwa, komu ból nie wyorywa bruzd na duszy, ten niech lepiej do poezji się nie zabiera, niech złamie pióro, albo niech... wyświetla filmy! Zresztą wszystko jedno, jaki rodzaj przemysłu będzie mu więcej odpowiadał. Może być szo-

ferem, może pisać powieści dla podróżnych I-wszej i II-giej klasy, ekspedjentek i dorożkarzy, może zakładać aparaty radjowe, pisać poematy na olimpjady, układać rewje kabaretowe — wszystko jedno! Tylko niech nie myśli, że jest poetą.

W charakterze każdej wielkiej, twórczej poezji jest dążność do rządu dusz. Jest to zupełnie słuszne i naturalne. Posłannictwem poezji jest budzenie gromady ludzkiej, otwieranie jej oczu na nowe, dalekie horyzonty.

Poezja musi dążyć do rządu dusz, do oddziaływania na gromadę ludzką.

Ale nie wszystkie czasy są na to oddziaływanie jednako wrażliwe. Są okresy w życiu ludzkości, w których niezadowolenie z istniejących stosunków staje się tak powszechne, że wystarcza małe potrącenie tego tonu, by wywołać głośne echo . . . Ale są też czasy inne, w których ludzkość wierzy w wartość swych wysiłków i z płomienną wiarą pracuje nad ich urzeczywistnieniem.

Takie czasy przeżywamy obecnie. Wiara mas w wartość postępu techniki, w organizację przemysłową świata jest tak wielka, że wszelkie ostrzeżenia przed fatalnem następstwem przewagi mechanizacji życia nad ludzką duszą — jest wołaniem na puszczy.

A jednak poezji n i e w o l n o swego posłannictwa zaniedbywać. I w tych dla siebie niewdzięcznych warunkach m u s i ona zostać wierną wysokiej swej misji.

Posiada ona przecież tak bogaty repertuar środków poruszających dusze — od ironji i wzgardy począwszy aż do piorunowego gniewu i chłosty. Nigdy np. nie było lepszego czasu dla stworzenia satyry, komedji i dramatu satyrowego. Ale, aby nawet w tych czasach zmusić publiczność do słuchania, trzeba jednej rzeczy, o którą najtrudniej: talentu, talentu i jeszcze raz talentu!

LUDWIK SKOCZYLAS

BAŚŃ O KOLOROWYCH ŁZACH

Dziś rano schwytałem srebrną nić pajęczą i chcę nizać słowa, paciorki barwne i szklane.

Opowiem wam baśń, jedną z tych, które sam sobie opowiadam.

Wczoraj zakupiłem w kramie barwny naszyjnik, taki sam, jaki mi dałaś ongiś — czarnobrewa dziewczyno.

Dotknięciem lżejszem, niż oddech, muskam czternaście sznurków szklanych paciorków.

Krzyczy we mnie tęsknota za szczęściem barwnych cacek.

Nie uśmiechaj się — przyjacielu mój — przecież obaj wyciągaliśmy rączki do cacek rozwieszonych na choince.

Pamiętasz? Chrupał cukrzany mróz, a myśmy nosy kleili do szyby wystawowej i łykali poblask szklanych świecideł.

Potem w snach straszył nas radośnie cień choinki rozczapierzony na ścianie.

Będę mówił szeptem, aby nie posłyszał słów moich człowiek silny, taki, jak ten, co mieszkał nad nami i takim ciężkim chodzi krokiem, że drżała z trwogi nasza mała izba, by jej nie rozdeptał, jak pudełka z zapałek.

Onby rozgniótł w garści na szklany pył moje barwne paciorki. Zrobiłby to bez wątpienia, bo mocny jest i twardą ma dłoń i lubi słowa stalowe, w ogniu hartowane.

Ale teraz śpi i trzeba się strzedz, by go nie obudzić. Jest bowiem blisko, bliżej od sięgnięcia ręką — jest we mnie.

Więc nim podniesie powieki z nad ostrych, szarych źrenic, posłuchaj baśni, którą sobie i tobie opowiadam.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Był obraz cudownej Madonny o śniadej cerze i był anioł, który ten obraz pokochał.

Wieczorem, gdy wszyscy już opuszczali kościół i kościelny kluczem zgrzytał, anioł cichutko szeleszcząc skrzydłami snuł się złotem widmem przez granatową nawę i szedł ku ołtarzowi Bożej Matki. Głowę o bujnych, złotych lokach między złote skrzydła wtu

lał i długo korzył się, nim wielkie i jasne, prawdziwie anielskie oczy podniósł na obraz. A potem modlił się modlitwą tak jasną, jak niebo oblane słońcem.

A miał jedno ciche marzenie, cichsze od szeptu skrzydeł anielskich, marzenie, które krył starannie za długiemi rzęsami nawet przed Bogiem. Chciał zawiesić na obrazie Madonny naszyjnik, bezcenny, ale nie wiedział jaki. Czuł tylko, że nie może on być ani z korali, ani z pereł, ani nawet z gwiazd.

Bóg, który wszystko wiedział i wie, przyzwał anioła do siebie i rzekł mu:

— Naszyjnik, jaki pragniesz zawiesić na obrazie Madonny nie może być ani z korali, ani z pereł, ani nawet z gwiazd.

Drgnął anioł i zatrzepotał skrzydłami z przestrachu, bo sądził, że nikt nic o jego marzeniach nie wie. Ale Bóg uśmiechnął się dobrotliwie i pogładził złote loki anioła.

— Nie lękaj się — uspokoił go. — Marzenie twoje czyste jest i godziwe. Idź więc i nizaj sznurki z dni człowieczego żywota, bo tylko taki naszyjnik może być bezcennym i godnym zawieszenia na szyi Madonny. Oto daję ci moc przemieniania człowieczych dni w szklane i barwne paciorki.

I szedł anioł po świecie i z ludzkich żywotów wybierał dni barwą najczystsze i w rękach toczył je w kulki, w paciórki szklane i nizał je na sznurek.

Spotkał na łące rozbarwione dziecię, a ono podało mu w rączkach garstkę małych dni, czystych jak woda źródlana. Anioł nizał je jeden za drugim i tak powstał pierwszy sznurek szklanych paciorków.

Szedł dalej i znowu szukał ludzi, którzy przeżyli dni o najczystszych barwach. Znalazł młodzieńca, któremu młodość rozpierała pierś, jak woda rozpiera sytą deszczu trawę. Z wielu, bardzo wielu dni młodzieńca miąższną zielenią napęczniałych urobił anioł drugi sznurek — sznurek zielonych paciorków.

A potem spotkał staruszka, który wlókł już ostatnie pomarszczone, ale niemniej piękne dni starości. Te starcze dni niza anioł w sznur trzeci — w sznur pomarszczonych, karbowanych paciorków.

Poszedł dalej i odnalazł dni człowieczego żywota jednakie i monotonne, szare i ołowiane. A przecież były piękne, bo tylko smutkiem zamglone. Cichy człowiek nie złorzeczył szaremu loso-

wi. To też z wielu, bardzo wielu dni jego żywota powstał w dłoniach anielskich sznurek czwarty — sznurek matowych paciorków.

Potem piąty sznurek nanizał — jasnoróżowy — z dni człowieka, co codzień darmo zorzy wyglądał. Potem szósty niebieski — z dni żywota żeglarskiego, z dni zawieszonych między błękitem nieba a modrą tonią. Potem siódmy, ósmy, dziewiąty . . .

A gdy już naszyjnik był gotów, złote widmo anioła —

— — — — — — — — — — — — —

Toś ty — dziewczyno o szarych oczach — winna że baśń się rozprysła.

Toś ty poszarpała czternaście sznurków barwnych paciorków.

Sypią się paciorki zielone, czerwone, modre, złote . . .

Szklane łzy się posypały.

Nigdy mi dotąd nieprzyszło na myśl, że może być na świecie tyle barwnych łez . . .

Sypią się łzy szklane, czerwone, niby krople krwi zakrzepłej pod powieką.

Sypią się łzy złote, jak złoto jesieni. (Takiemi łzami płakał złoty anioł w niebieskiej kaplicy, kiedy raz modliłem się z naręczem białych narcyzów, na które nikt już nie czekał).

Sypią się łzy zielone napęczniałe wodnistym bólem — beznadziejne. (Takiemy łzami spływał deszcz z porosłego mchem dachu, kiedy w drzwiach chałupy powiewałaś ku mnie pękem maków na pożegnanie.

Sypią się łzy srebrne, chłodne i sztywne. (Takie łzy wypłakiwała czarna pani w wonną chusteczkę). Jedne z nich krągłe i tylko zimne, a drugie pokarbowane i pomarszczone jeszcze w duszy zeschłe.

Sypią się łzy ciężkie, matowe . . . Takie łzy ołowiane osuwają się z szyb w każdy zatopiony w deszczu dzień.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

A ostatnie spadły czyjeś ludzkie łzy. Suche są i szklane. Oderwały się od spiekłych powiek, jak ziarna szronu.

Dobrze, że obudziłeś się, Człowiecze Silny, i że w szklany pył miażdżysz stopą moje paciorki.

Nie wiedziałem, że za kolorowemi łzami posypią się ludzkie, suche i szklane łzy . . .

Zadepcz je! Ani mnie ani ludziom one pożyteczne.

Mnie ciążyłyby szronem przymarzłym do rzęs, a ludziom potrzebne zwykłe, mokre łzy, któremi, jak wodą, można zmyć z oczu dzień wczorajszy . . .

ADAM POLEWKA

DZIAŁ KRYTYCZNY

Franciszek Lipiński: „Pieśń o miłości zwycięskiej", poezje. Katowice, 1928 r.

Nakładem „Strzechy Rodzinnej". Str. 36.

Ktoś to powiedział (bodaj czy nie słusznie!) że w stosunku do młodych autorów krytyka powinna być bardzo ostrożną, gdyż częstokroć, bądź przez nieuwagę, bądź przez lekkomyślność, grzebie ona niedoświadczone a wybitne talenty. Debiutant zaskoczony u progu swej działalności zbyt surowym sądem krytyki zniechęca się, przestaje pracować — a nieraz szkoda . . .

Oczywiście, nie znaczy to, że krytyka ma wszelkie głupstwa adeptów sztuki aprobować. Przeciwnie. Powinna je autorowi wykazać, ale równocześnie zachęcić do wytrwałej pracy nad sobą.

Debjut p. Lipińskiego prawie się nie udał. „Pieśń o miłości zwycięskiej" nie przynosi żadnych pozytywnych wartości, nad któremi wartoby się dłużej zastanawiać. Brak kultury literackiej, rażące błędy stylu, nawał nowotworów-dziwolągów a przedewszystkiem brak przemyślanej konstrukcji logicznej i umiaru artystycznego. Już na samym wstępie, autor zestawiając siebie z prorokami świata powiada: „Każdy z nich wznosił duszę promienną w sfery niepojęte by upić się bożych przestworzy". — Cóż to po polsku znaczy? W niemile patetycznej pozie autora z jaką chwali się że w życiu jego zawarta jest „myśl Boga nieśmiertelna", która jest „złu potworna" a zarazem „świętością bezczelna!" (ciekawe atrybuty „nieśmiertelnej myśli Boga"!) — rażą nas karkołomne sztuczki myślowe i ekwilibrystyka słowa.

Pogoń za treścią w powodzi obfitych a logicznie ze sobą niezwiązanych słów jest tu b. nużącą dla czytelnika. Po chaotycznych uwagach na temat dalekobieżności ducha ludzkiego, który wkracza aż poza dziedzinę słuchu („Pod kolumnami słuchu — wznoszą głowy węże.") — uskarża się autor, że w „imię najjaśniejszej miłości" do ludzkości zaparł się Stwórcy (daremnie) bo i tak „lud" (utożsamiany tutaj dla rymu lub rytmu z „ludzkością") „cierpi bardzo na tym świecie, walczy bez celu, ginie w męczeństwa aureoli w „śmierci sekrecie."

Pan L. w niepohamowanem niczem gadulstwie zatraca poczucie odpowiedzialności za swój język i zapomina o pewnej hierarchji słów, z którą powinien się liczyć, mając na uwadze doniosłość tematu.

Smutnem jest także, że autor, Polak, nie wrósł jeszcze w ducha języka polskiego, skoro może pisać: „O, życie nie jest gwiazdami! My je nie uciszymy! — —"

Debjutant wskutek wzruszenia wywołanego w sobie własnem krasomóstwem gubi logiczne przędziwo myśli a nie panując nad materjałem dochodzi zbyt często do niekonsekwencyj i wewnętrznych sprzeczności.

Np. przez wiele stronic autor usiłuje przekonać czytelnika, że dąży do zespolenia się z Bogiem, że wreszcie po przebyciu błędnych dróg stanie przed tronem Majestatu — tymczasem dowiadujemy się potem od autora, że właśnie po śmierci jest . . . nicość!! A więc przed czyim Majestatem autor stanie? — czy przed majestatem (sic) nicości? . . . Czy nie korzystniej byłoby przed zabraniem się do pisania „Pieśni o miłości zwycięskiej" ustalić sobie pogląd na tę sprawę?

P. L. woła w pewnym miejscu do ludzi z całym entuzjazmem: „Ludzie — żyjący cudzie! stworzeni myślą Boga kierownika" — a parę wierszy potem: „wasze człowieczeństwo bez twarzy jest i wielkości, bez celu, szaleństwem uparte, wytarte z czci, rozumu, idei — z maską na twarzy grasz cyrkowego błazna!"

Dziecinna jest też wiara autora w „dojrzewanie świętej miłości" w ludziach która ich wkrótce „na aniołów przerobi".

Debjutant w twórczej tęsknocie chce „ziemię w niebo zamienić", „rewolucję świętą w duszach przeprowadzić, miłością wszystkich zawieruszyć — — —" (?)

Za poemat p. t. „ Świat i ja" pełen wierutnego i bałamutnego gadulstwa niech świadczą te dwa następujące „kwiatuszki":

„Jednaka ziemia, ludzie żyjące posągi,
I dnie i noce, świeże wschody i zachody,
I wichry niespokojne, wszechświata przeciągi
Poruszające świat ten swą wielkością młody.

a dalej:

W obliczu wszystkich światów, które wiecznie krążą
Czemże jesteśmy w smutnej rozmyślania chwili
O naszem życiu, troskach, co nam bardzo ciążą —
Chociażeśmy się Bogiem i światem popili?"

W „Hymnie do słowa" p. L. przedstawia się czytelnikowi: „Jestem słów poetą, poetą słów!" Ktoś złośliwy dodałby jeszcze: „poetą słów, słów, słów, słów, słów .... ale — pustych! A może i słusznie, tembardziej, że zapobiegłby nieszczęściu, jakie zdaje się wisieć nad światem. Autor „Hymnu do słowa" grozi bowiem, że z płuc może „wyrzucać słowa Wezuwjuszami, piramidami, całe niebo zapalić i zgasić. Słowa biczujące jak rózgi! Słowa kwiaty, motyle, słowa — śmiercące (a może: śmierdzące?) mózgi zamknięte w wiecznej mogile"!

Panu L. i tego zamało. Chce „cierpieć, szaleć w słów zawierusze! Wpaść w ich chaos wszelaki". O, to się zupełnie p. L. powiodło! Wpadł w bezdenny i „wszelaki chaos słów" i wydostać się stąd „nijak" nie może. Nic też dziwnego, że autor w jednej ze zwrotek „Hymnu" pyta: „nie wiem dlaczego słowa dobywam w zachwycie i rzucam chmurą zwrotek". Autor nie wie — ale niech się też nie spodziewa od nas odpowiedzi na to pytanie, bo my także nie wiemy.

tembardztej, że przy czytaniu owych zwrotek nie doznajemy tego „zachwytu", co autor przy „dobywaniu" ich i „rzucaniu chmurą".

Z trzech rzeczy podanych w zbiorku naszego debiutanta największą wartość posiada „Pieśń o miłości". Pomimo wielu wad, braków, niedokładności, są tam pewne ciekawe i jaśniejsze przebłyski (np. 1. przedstawienie szatana, jako symbolu zła w nas samych a nie poza nami; 2. słuszne uwagi, że życie dziś nie jest, ani wzniosłe, ani piękne, choćby się je nie wiedzieć jak przystrajało — stąd wniosek, że nie należy się życiem bezkrytycznie cieszyć. itd. itd.) świadczące o tem, że p. L. talent posiada i przy sumiennej pracy nad formą wypowiedzenia się wkrótce dojść może do pożądanych rezultatów. Musi jednak stanowczo opanować rozlewność języka, która go bezwzględnie gubi, unikać niepotrzebnych nowotworów — pracować nad konstrukcją i zwięzłością utworu.

fg.

Włodzimierz Żelechowski: „Po drodze", poezje. Kraków, 1928 r.

Nakładem księgarni S. A. Krzyżanowskiego. Str. 31

Zbiorek ten jest bardzo nierówny nastrojem, treścią, charakterem i wykonaniem. Daje czytelnikowi różnobarwny przegląd zainteresowań autora, ale też i dezorjentację. Wypadłoby więc może stosować do tego zbioru rozmaitą skalę wartościowania. Niestety! uczynilibyśmy tem wielką krzywdę autorowi, który już wydaje drugi tomik poezyj. (Pierwszego nie znamy). Z przykrością jednak trzeba stwierdzić, że w zbiorku obok rzeczy zupełnie dobrych, artystycznie opracowanych i wykonanych są rzeczy bez wartości. Autor jeszcze nie odnalazł swej drogi, po której mógłby się konsekwentnie posuwać naprzód, to też eksperymentuje, wybiera i nierzadko mylnie. . .

Już w pierwszym wierszu p. t. „Hymn modlitewny" zarysowuje się zlekka oblicze autora, jako szczerego miłośnika przyrody i trochę panteisty, (choć panteizm jest tu raczej niewinną pozą i nie wypływa z wewnętrznej konieczności przeżycia). Niepotrzebnie też daje w wierszu poglądowe lekcje z astronomji i historji naturalnej. Miłym natomiast jest stosunek jego do wszechświata, zjawisk przyrody itd. W głębokiej pokorze i miłości zestraja się swoją modlitwą z rozmodlonym światem. Modli się i do księżyca i do gwiazd, chmur, wichrów, tęczy, ziemi a najpiękniej bodaj do słońca, gdy wyrywają mu się pełne uwielbienia słowa:

„Wielbę Cię o Twoim wschodzie,
kiedy różowa jutrznia
zwiastuje po nocnym chłodzie
gorącość Twego przyjścia.
Wielbię Cię o zachodzie,
gdy złotą kulą nikniesz
na skrzydłach czerwonych odcieni
za szczyty gór i lasów
lub w równiach stepów i wodzie.

— Wtedy wyciągam ramiona
i zapatrzony w Ciebie
chcę lecieć w Twoje drogi,
chcę się zatracić w Tobie". — —

W swoim żywiole jednak dopiero wtedy się autor czuje, gdy ma sposobność uzewnętrznienia entuzjastycznej wprost miłości do zjawisk natury. Poczęści robi to udatnie. Język jędrny i dosadny, („Kosiarz") obrazowanie śmiałe, podejście do opisywanego objektu ciekawe („Lato") konstrukcja treściwa, myśl utrzymana prawie zawsze na wodzy logicznych cugli — wróżą p. Z. przyszłość. Szkoda tylko, że autor nie przesącza swych doznań przez pryzmat wewnętrznego pogłębiania się a posługuje się najczęściej czysto zewnętrzną opisowością.

Są w tym zbiorku wiersze także i takie, które prócz wartości deklamatorskich nie mają żadnego dla siebie usprawiedliwienia (Np. stosunkowo najlepszy z nich „Ogień", „Pożar", „Obrońca" i „Capstrzyk", który swą „bezpośredniością" „bum! bum! bum! obniża powagę całego tomiku). Wiersz „Straszydło" — jest rzeczywiście straszydłem! Ale tylko dla małych dzieci! My, choćbyśmy przeczytali takich sto wierszy, choćby nas straszyły „straszydła" nie „setkami" ale miljonami „bladych gąb" napewno nie skryjemy się ze strachu pod kołdry.

Są tu także wiersze zupełnie niepotrzebne, jak: „Na linji" „W hali maszyn" Autor z tematów tych, tak w ostatnich czasach „sklepanych" nie wydobył niczego nowego, a jeśli nawet zewnętrzny opis ukazał, to bardzo nieudolnie. Zbyt widocznem jest, że p. Z. w tym środowisku czuje się zupełnie obco i nieszczerze. To też, na tej drodze napewno nie odnajdzie siebie.

Reasumując wszystkie wrażenia doznane z przeczytanego tomika p, Z. dochodzimy do przekonania, że młody autor wkrótce wkroczy na właściwą drogę, a przy uczciwej pracy nad podchwytywaniem przedmiotu od wewnątrz pogłębi swój stosunek do świata. Ogólnie biorąc, oblicze p. Z. zarysowuje się dość wyraźnie i ciekawie. Następny (przyszły) zbiór jego poezyj zadecyduje ostatecznie o wartości i stanowisku, jakie może p, Z. zająć. To też powinien się dobrze przed wydaniem trzeciego tomu zastanowić.

ir.

Antoni Teofil Stormke: „Poezje". Warszawa, 1928 r.

Nakładem autora. Drukarnia „Udziałowa" w Częstochowie. Str 60.

Już pierwsza strona tomiku mówi nam, że mamy do czynienia z autorem młodym, niedoświadczonym. Wstęp p. t. „Wiek mój młodzieńczy" jest nie na miejscu dlatego, że, po pierwsze: nie praktykowany jest system zamieszczania w tomiku tego rodzaju zwierzeń, bo każdy autor szanuje je i chowa głęboko w sobie, (tylko utwory mają być odzwierciedleniem stanów i przeżyć psychicznych) — po drugie: jest taki naiwny, taki — rzec można — studencki, nieprzemyślany i co najważniejsze — nieszczery, że napewno większej sympatji autorowi nie zjedna. O naiwności i nieznajomości życia p. Stormke świadczy następujący ustęp z jego wstępu: „... Kto oddaje się jednemu z nich (t. j. Poezji, Muzyce lub Malarstwu,) ten zna prawdziwe piękno, ten przejdzie przez życie czysty, jak śnieżne lilje, ten wreszcie dozna ukojenia w cierpieniach i otrzyma szlachetny bodziec do pracy, do zwycięstwa nad własnemi ułomnościami, ten spocznie na laurach, zdobywając sobie szlachetne imię na ziemi"... Piękne to

słowa. Szlachetny naprawdę entuzjazm — ale niestety... Życie jest inne... Sztuka nie jest samą rozkoszą, ale i źródłem (i to zazwyczaj!) wielkich i bardzo przykrych rozczarowań, wewnętrznej rozterki, wiecznego nieukoju i tęsknoty.

Z tą „czystością" twórcy podobną aż (!) „liljom" sprawa również nie taka prosta. Boć jak często musi się twórca zetknąć ze złem, wziąć je do ręki, — jak często musi je nosić w sobie pod postacią przeróżnych przeżywań... aby mógł o nich mówić i nazywać po imieniu...

Taki niemiły i naiwny stosunek — nietylko do sztuki, ale i do świata w ogólności..., cechuje autora na każdym kroku. Oto np. jak p. Stormke patrzy na lud:

„Bo te proste, wiejskie dusze
pod osloną niskich chat,
modlą się za naród (!) w skrusze
i za cały grzeszny świat. (!)

I nie znają, co to zdrada,
która w serce wlewa jad,
a namiętność, ludzka wada,
oddalona stąd, jak gad. „(!!)"

A przy końcu tegoż wiersza — prośba:

„...A ten świat, co wart nagany
ty łaskawie (ludu — naturalnie) zawsze sądź"!

(Pieśń do ludu polskiego).

Chyba autor nie był nigdy na wsi i nic o wsi i ludzie nie czytał — bo inaczej nie rozumiem.

I bez tego, zresztą, w każdym niemal wierszu sili się autor na „ideał".

Załatwia się pobieżnie i nierzadko najzupełniej bezmyślnie z ważkiemi zagadnieniami życia, nad których rozwiązaniem wielcy twórcy nieraz i cały żywot stracili. I takie nonsensy wypowiada się... rymowanem ględzeniem... Obrazowania ani śladu. A jeśli się zdarzy coś podobnego... to upstrzone jest takiemi bezmyślnościami, jak:

„...Wokoło mnóstwo kwiecia (chodzi o łąkę...) jak
w miejskich trawnikach"...(!)

(Nad źródłem).

Komentarze chyba zbyteczne.

Przy tem wszystkiem autor zbyt silnie tkwi jeszcze w czasach Reja i Kochanowskiego, Szkolna lektura tego ostatniego odbija się aż nazbyt silnie na stylu i charakterze jego wierszy Naprzykład:

„Próżno o ziemskie sprawy zapobiegasz człecze (!)
Bóg woła: „Chodź do mnie!" — i wszystko uciecze"..

(Sen).

Albo:

„..., Na cnotę patrzy i rad owej słucha"...

i wreszcie:

„...Bo Pan ulał ją (miłość) w dusze człeków"...

(Miłość).

Tak już nawet i Kochanowski nie pisał.

Dużo, dużo możnaby jeszcze pisać i dawać przykładów, ale nie chciałbym podchodzić za blisko ku granicy złośliwości. Zresztą, sądzę, że to wystarczy...

S. K.

Emil Romanda: „Bunt Ziemi", poezje. Warszawa, 1928 r.

Skład główny: „Dom Książki Polskiej". Drzeworyty art.-mal. E. Schinagla. Str. 52.

Ciekawy tomik! Tomik — w którym charakterystyczną a poniekąd i istotną cechą każdego wiersza są przedewszystkiem (i przeważnie!) błędy: a) ortograficzne, b) gramatyczne, c) stylistyczne. Tomik — który jest formalnie przeładowany poezją (ale tą, naturalnie, z pod ciemnej gwiazdy!).

Nie można absolutnie — mimo ewangelicznej cierpliwości — odróżnić wiersza dobrego od złego, lepszego od gorszego, bo wszystkie pod względem jakości są bez różnicy. Wszystkie są bez wartości. Żeby choć jeden...

Oto rasowy przykład:

„Kochanicę sobie weź
Grubym (!) cielskiem w auto wleź
Jazda — wygodnie!
Jazda — swobodnie!
Bryzgaj błotem
Spieszącą gołotę
Starusze przybliż śmierć!" (?!)
(„Podróż", str. 18).

Tak brzmi sam początek tego wiersza. „Środek" — jest jeszcze kapitalniejszy! Oto:

„... Ja czerwony (!) jadę cham (!)
Na Amsterdam
Na Rotterdam
Na Londyn, Paryż, Berlin!
Jadę w słońca pozłocie
Śmiechem bryzgam gołocie (!)
Z troski-nudów chmury kręcę." (!!)

Mój Boże! Czerwony cham... co z troski-nudów chmury kręci!.. A szczególnie to pierwsze: czerwony cham!... Co za wspaniała (brawo!) autokrytyka! Co za wyjątkowy gest! A jaka odwaga!...

Albo inny „kawałek" z „Wiosny" (str. 36):

„Słońce nam świeci na zielono (!)
Całuje ludzi stąd ni zowąd (!)
Czerwono-wody siąpie (!) trud (?!)
Zali (!) dzisiaj się zmieniło
Że ludzkie głowy zmieniły front?" (!!?)

Niech te przykłady mówią za siebie. Niech...

Drzeworyty „oryginalne" Schinagla w zupełności nadają się do zbioru „artystycznego poziomu" poezyj Romandy. Są bowiem równie beznadziejne w swojej „żywiołowej ekspresji" jak „twórczość" autora „Buntu"...

Jednem słowem — całe to „wystąpienie" jest tylko nieuczciwem naigrawaniem sobie z czytelników, i jako takie — powinno być z całą bezwzględnością napiętnowane.

W. M.

CZCIONKAMI POMORSKIEJ DRUKARNI ROLNICZEJ S. A. w TORUNIU